

Made in China.
Rewolucja kulturalna

Spis treści:

<i>Farewell My Concubine</i>	4
Mają rozmach.....	7
Kacza głowa.....	8
Ma Jian, <i>Pekińska koma</i>	9
<i>Last Train Home</i>	11
James Fallows, <i>China Airborne</i>	13
Słowa mądrości.....	14
China lacks everything except human beings	15
Dido Michielsen, Auke Kok, <i>Lisa-Xiu I Lin-Shi. Córki z Chin</i>	16
Z ostatniej chwili.....	17
Julia Lovell, <i>Wielki Mur Chiński</i>	18
<i>Shijie</i>	20
Paul Midler, <i>Poorly Made in China</i>	22
Guy Delisle, <i>Shenzhen</i>	24
Zheng Chunhui i jego rzeźba.....	25
<i>24 city</i>	27
Jung Chang, <i>Dzikie łabędzie. Trzy córki Chin</i>	28
<i>Król masek</i>	30
<i>High Tech, Low Life</i>	31
<i>Dotyk grzechu</i>	33
Yu Hua, Zhang Yimou, <i>To Live</i>	35
Yu Hua, <i>To Live</i>	37
Yu Hua, <i>Chiny w dziesięciu słowach</i>	38
Big Ban Theory	40
Japan's Longest Day.....	41
Yu Hua, <i>Chronicle of a Blood Merchant</i>	42
Ai Weiwei – portret artysty jako młodego człowieka	43
Yu Hua, <i>Brothers</i>	46
Flower Drum Song.....	48
Ai Weiwei – sztuka po pekińsku.....	49
Muzyka łagodzi obyczaje	55
Kot z Lanzhou	56
Music makes the people come together	60
Kraina smogiem i osłem płynąca	61
Dziecielina tak pała!	65
Wenguang Huang, <i>The Little Red Guard: A Family Memoir</i>	71
Far East of Eden.....	72
<i>A Death in the Lucky Holiday Hotel</i>	73

Jiang Rong, *Wolf Totem*74
***Fresh Off the Boat*77**
Sweet Dreams (are made of this).....79
Blaze of Glory81

Farewell My Concubine

[3.09.2013]



Historia zjawiska

Historia filmu w Chinach jest dramatyczna, bo historia wszystkiego w Chinach jest dramatyczna, dzięki pomysłom wiemy kogo. Początki były właściwie jak wszędzie, kręcenie tego, co się nawinęło lub było ładne (opera). Rynek był zdominowany przez obcokrajowców, ale w latach 30. doszło do ciekawostki: powstawały dzieła wrażliwe społecznie, czas ten nierzadko określa się obecnie mianem złotego wieku. Z przyczyn politycznych trwała walka o wpływy w przemyśle filmowym, obie strony pogodzili Japończycy, gdy zajęli Szanghaj i wymusili przeprowadzkę filmów do Hongkongu.

Po drugiej wojnie nastał drugi złoty okres, powstawały filmy dojrzalsze i mniej lewicowo naiwne, w tym *Spring in a Small Town*, nierzadko uznawany za najważniejszy film chińskiej kinematografii. Nadszedł rok 1949, teraz nie jestem pewien, jak to ująć... Może tak: z racji zmian w naturze funkcjonowania państwa i zwrotu w stronę komunizmu kino uległo pewnym koniecznym wówczas modyfikacjom i zwrotowi w stronę służby młodemu ustrojowi. Widzowie mogli się dowiedzieć o ciężkim losie rolników i o tym, kto pokonał Japończyków. Rewolucja kulturalna również nie była czasem, który przyniósł wiele zmian i wyprowadził kino chińskie na wody międzynarodowe. Dopiero w latach 80. powstawać zaczęły filmy nieco więcej mówiące o radościach życia w Chinach – sam Deng Xiaoping zachęcał do krytykowania i pokazywania, co jest złe, ale po 4 czerwca 1989 roku trend został powstrzymany. Twórcy, którzy pozwolili sobie skorzystać z prawa do wyrażania niezadowolenia, znaleźli się w czarnej dupie (jaka ta ojczyzna tu jest kochana...). Jednak przy tym wszystkim, do głosu doszło tak zwane V pokolenie: reżyserzy

wykształceni w Pekńskiej Szkole Filmowej, którzy zaczęli robić filmy znacznie bardziej artystyczne i nierzadko dotyczące problemów współczesnych, podziękowali za opowieści o walecznych żołnierzach i wieśniakach. Pośród nich jest dwóch gigantów: Chen Kaige i Zhang Yimou. Rozpoczynamy tradycyjną już przygodę z filmem kraju, w którym przyszło nam żyć. Akurat to, że padło na Chiny, nie jest w tym wypadku takim przekleństwem, jak w wielu innych. Może nie jest to drugie Hollywood, ale jednak parę rzeczy udało im się zrobić, chociaż raczej kilku zdeterminowanym jednostkom, które robiły, co chciały, wbrew okolicznościom. Mimo upływu lat, by wałnąć z najgrubszej chińskiej rury filmowej, należy wałnąć z *Żegnaj, moja konkubino* Chena Kaige.

Historia dzieła

Tytuł filmu jest chyba bardziej znany od niego samego. Jest to „naj z naj”, po pierwsze największy sukces artystyczny na artystycznej arenie międzynarodowej (do nie tak dawna jedyna azjatycka Złota Palma). Jako dzieło z Hongkongu nominowany do Oscara, zdobywca hektarów innych nagród na świecie. W samym Hongkongu wybrany został najlepszym chińskim filmem wszech czasów. Dlaczego to wszystko?

Film przekrojowo pokazuje większość XX wieku w Chinach z punktu widzenia aktorów Opery Pekńskiej. Trafiają im się czasy II wojny światowej, czyli okupacji japońskiej, rządów nacjonalistów, następnie komunistów. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, że zagwarantuje to liczne atrakcje, możliwość podjęcia wyzwań i przeciwiczenia charakterów. Dramatu oczywiście w tym nie brakuje. Słabych punktów moim zdaniem nie ma. Gdyby ktoś bardzo chciał, może narzekać, że historia jest nieco poszatkowana, nie brakuje w niej przeskoków czasowych. Aktorsko nie da się żywcem do niczego przyczepić, są trzy wybitne kreacje główne i wiele bardzo dobrych drugoplanowych. Mimo metrażu problemu z wysiedzeniem i wyoglądaniem nie ma, wciąga niczym bagno. Ewentualnie jeżeli ktoś oporowo nienawidzi chińskich śpiewów, to czeka go parę bolesnych minut, ale nie ma przesady z ilością partii śpiewanych. Są wątki homoseksualne, ale bardzo stonowane. Nawet jeżeli ktoś nie ogarnia historii Chin, nie powinien się w tym pogubić, ale szczególnie nie ma topornej łopatologii i przepisywania książek do historii na ekran.

Ujmując sprawę z ludzkiego punktu widzenia, jest to w chuj ciekawa i raczej smutna historia o miłości w różnych wymiarach, o uczuciu chłopca do pani, ale też o uczuciu chłopca do chłopca, innego chłopca, do matki, dziecka, do pani, do sztuki, do wykonywanego zawodu, w jakimś sensie też do ojczyzny i pewnie jeszcze dałoby się znaleźć parę innych obiektów. Należy celować w wersję mającą 171 minut. Po festiwalu w Cannes Miramax kupił film, wyciął 10 minut i podobno powstał z tego bełkot, sieczka i brednia. Istnieje też wersja na rynek chiński, ta ma zmienione zakończenie. Film początkowo został zakazany w Chinach ze względu na wątki homoseksualne i zakończenie, potem jednak dopuszczono go do dystrybucji, następnie znowu zakazano, wkrótce ocenzone i znowu pozwolono oglądać. Władza nie powinna jednak żyć w strachu, znani Chińczycy w życiu o tym filmie nie słyszeli i zapewne do końca swych dni nie usłyszą, bo przecież jest tyle ciekawych filmów akcji i komedii romantycznych.

O autorze

Chen Kaige urodził się w Pekinie w 1962 roku w rodzinie intelektualistów. Z racji tego, jak fajnie się historia potoczyła, doniósł na własnego ojca w dniach rewolucji kulturalnej, czego przez resztę życia wielce żałował. Jego film *Żółta ziemia* uznawany jest za przełomowy w kwestii dojścia tzw. V pokolenia do głosu. Można powiedzieć, że *Konkubina* to jego opus magnum, chociaż inne filmy też złe nie są, pod warunkiem, że nie spodziewamy się kina akcji. Niestety ostatnimi laty zaczął kręcić filmy nieco bardziej mainstreamowe i nie wyszło to na dobre nikomu – ani jemu, ani publiczności, ani krytykom.

Mają rozmach...

[5.09.2013]

Na obrzeżach Chengdu powstał największy budynek świata. Budowla ma 500 metrów długości, 400 metrów szerokości i 100 metrów wysokości, nosi nazwę New Century Global Centre i ma 1.7 miliona metrów kwadratowych powierzchni, co rzekomo pozwoliłoby na zmieszczenie dwudziestu egzemplarzy opery z Sydney. Mieści się w niej – *oczywiście* – centrum handlowe.

Dotychczas największym budynkiem świata był Pentagon, zaraz za nim pałac intelektualisty Ceausescu (w celu postawienia tegoż rozjebano większość starego Bukaresztu). Pierwsze raczej militarne, drugie dość dyktatorskie, trzecie konsumpcjonistyczne. Dość ciekawie pokazuje to zmianę trendów na świecie. Poza miejscami do robienia zakupów w budynku znajduje się też miniatura śródziemnomorskiej wioseczki, plaża z ekranem wyświetlającym wschód i zachód słońca. Co ciekawe, nigdzie nie pojawia się informacja, kto stoi za projektem budynku, co wydaje się dość dziwne, zwłaszcza że bardzo podkreśla się, iż postawiono go naprzeciwko centrum kulturalnego zaprojektowanego przez Zahę Hadid. Może autor największej budowli świata pragnie zostać anonimowy?



New Century Global Centre

Źródło: AFP/Getty Images.

[27.09.2013]



Każdy dział kulturalny przyznaje jakieś oceny. Ponieważ jesteśmy na maksa komercyjni i mega profesjonalni, my też będziemy przyznawać pierdoły filmom, książkom i egzekucjom publicznym. Po dłuższym zastanowieniu wybraliśmy **kacze głowy**, bo kacze głowy wydają się być specjalnością naszego miasta, kolorowego Huainan. Byliśmy w paru miejscach w Chinach i nigdzie nie widzieliśmy, by sprzedawano je solo, a tutaj bez problemu możemy sobie kupić kacze łby za 1 RMB, czyli kuaia, czyli **50 groszy**.

Idea jest taka, że **wysysa się z nich mózg**. Nasz kolega z USA to zrobił i odradza, bo rzygał 40 godzin. Z naszych kaczych głów można wysysać nieco inną zawartość niż mózg, mamy nadzieję, że nie sprawimy, że ktoś zwymiotuje, a może nawet uda mu się uniknąć zatrucia.

Legenda:

- 0** kaczych głów – **arcydzieło**, nie trać głowy na kacze, czytaj i oglądaj.
- 1** kacza głowa – w czasie poznawania dzieła może nastąpić jedna chwila przerwy na kaczą głowę, ale nie więcej!
- 2** kacze głowy – myśli o zagryzieniu kaczą głową mogą pojawić się podejrzenia często.
- 3** – połowę czasu poświęcisz na konsumpcję, połowę na obcowanie z dziełem. Głodówka może być lepszym pomysłem.
- 4** – przewaga kaczych głów nad zdrowym rozsądkiem.
- 5** – lepiej pochłonąć koszt kaczych głów niż ten produkt czyjejs weny twórczej.

[27.09.2013]



Moje skromne przygody z literaturą chińską są póki co średnio udane, ale żeby nie było, że wszystko na nie, zacznę od mej ulubionej obecnie książki związanej z tym cyrkiem Chinami. Okładka nie powala, to tak bardzo delikatnie mówiąc. Z obwoluty dowiedziałem się, że to najważniejsza książka Chin i świata całego. Jezu, czego ja się nie dowiaduję z różnych okładek książek i DVD, takie zajebiste rzeczy powstają bez przerwy, a ja mam jeszcze takie szczęście, że czego nie wezmę, to jest przełomowe i wybitne, więc ogień w oczach i czytam.

O losach chłopaka, który został postrzelony w 1989, a teraz leży w tytułowej komie, wegetuje i rozmyśla. Ma Jiana chętnie przeczytam każdą nową książkę, sam pomysł wydał mi się świetny, choć nieco ryzykowny, bałem się głównie, czy autor nie porwał się na coś ponad swoje możliwości. Jego wcześniejsze książki raczej mi się podobały, ale cholera, tu się rzucił i napisał ponad 700 stron z okładem o najważniejszym wydarzeniu z historii najnowszej Chin. Co więcej, o tragedii, do której stosunek musi mieć wybitnie emocjonalny, bo brał w niej udział, może nie aż do tego etapu, co główny bohater, ale na Tiananmen był. Do tego jasne jest, co on myśli o współczesnych Chinach. Obawiałem się, że ładunek emocjonalny może go pokonać i wyjdzie książka z motywem przewodnim „o wy skurwysyny”, co w sumie też by mi się bardzo podobało.

Pierwsze zaskoczenie: jest dobrze. Drugie: jest jeszcze lepiej, wciąga jak bagno, im dalej, tym głębiej. Tłukłem po ponad 100 stron dziennie, w sumie jakieś pięć dni zajęła mi całość, gdybym miał więcej czasu, to jeszcze szybciej bym skończył. Chwilami trochę irytowały mnie *opisy cielesne w bite kursywę*, których ilość bym ograniczył, chociaż sam pomysł dobry. Nie doceniłem Ma Jiana, bo Tiananmen to dla niego punkt wyjścia, by zająć się całym popierdolonym syfem – ciemnymi stronami polityki Chińskiej Republiki Ludowej po roku 1989. Ostatnie zaskoczenie to takie, że to do końca ma ręce, nogi i jaja, nawet gdybym się bardzo chciał dowalić, to byłoby mi trudno. Nie ma nudy, nie ma bzdur, nie ma łopatologii, nie ma też zawiłych ekstremów dla pasjonatów tematu, każdy gramotny człowiek jest to w stanie zrozumieć.

Polecam zajełście, że warto, to mało powiedziane. Rozmiar może przerażać, ale po pierwsze świetnie się to czyta, po drugie można sobie wiele pomyśleć, nie tylko o Chinach, a i o tym, co gdzie indziej. Zawsze też można potem chwalić się znajomym, że przeczytało się taką długą książkę, błysnąć na salonach, w kawiarni, w komunikacji miejskiej, na randce, w debacie wyborczej, golić się z dumą przed lustrem.

Jest taka jedna sprawa z tym wszystkim: Ma Jian kocha Chiny jak mało kto, więc uciekł z nich do UK, ale wiele nie mówi w języku byłego okupanta. Pisze po mandaryńsku, potem jego żona tłumaczy to na angielski i dopiero jedzie do wydawcy, więc wersja polska to przekład przekładu. W paru miejscach nie byłem zachwycony, ale po mandaryńsku sobie nie poczytam, a i tak tłumacz nie zrobił niczego dziwnego, nie ma pizd geograficznych, logicznych, stylistycznych ani błędów i nie mam prawa się czepiać, niemniej wydaje mi się, że lepiej to przeczytać po angielsku. Cenowo powinno dać się dopaść internetowo w ludzkim wymiarze kary. Wersja cyfrowa nie jest nam znana.



Ocena dzieła: o kaczych głow, nie jem kaczych głow, czytam po nocach.

[30.09.2013]



Gdy tylko dowiedziałem się o istnieniu tego dzieła, natychmiast rzuciłem się oglądać. Po ponad pół roku pobytu w Chinach mam tyle przemyśleń dotyczących chińskich pociągów, że z bardziej błahych powodów wybuchały wojny, nie mogłem się więc doczekać dokumentu traktującego o problemie.

No i niestety do rzyci. Nie całkowicie, ale nieco poniżej oczekiwań. Spodziewałem się dzieła o tym, jakim strasznym wyzwaniem i koszmarem jest podróżowanie pociągiem w Chinach w okolicach Spring Festival. **Jakie ludzkie dramaty rozgrywają się na setkach dworców i jak wiele szczęścia-nieszczęścia związane jest z kupnem biletu.** Jakie dystanse ludzie pokonują w trakcie tej największej migracji współczesnego świata, żeby na chwilę zobaczyć swoje rodziny. Jak desperackich środków chwytają się, by zrealizować to wielkie marzenie, którym żyją na wiele dni przed i po. W jakiejś mierze jest to film o tym. Najlepsze sekwencje to te sfilmowane przed dworcem w Guangzhou, gdy ludzie rzucają się i walczą o dostęp do kas, gdy stoją w **gigantycznych kolejkach** po wiele godzin. Niestety nie czuć tego do końca, a właściwie ledwo co. Postójcie sobie w chińskiej kolejce 10 minut, napiszcie memuary z tego: kto i jak się próbował wepchnąć, czy mu się to udało, jak reagowali inni, ile czasu zajmowało przeciętnej osobie kupno biletu, co obrzydliwego się wydarzyło, jakie bagaże mieli ludzie (uwielbiam worki jutowe wypchane żelazem lub ryżem) pełno losowych rzeczy i w końcu to, czy udało się kupić wybrany bilet. Tego właściwie w tym filmie nie ma. W zamian jest dość **łzawa historyjka** o dziewczynie z zadupia, którą odmieniło życie w mieście i która nie bardzo się dogaduje z rodziną, więc rozkład jej relacji, więc mieliśmy to jakieś dwieście razy, tylko ciekawiej niż tu.

Najbardziej w tym wszystkim intrygują sekwencje z pociągów, które powinny być zajebane pod sufit, a tymczasem filmowcy sobie spokojnie rozstawili cały sprzęt (bo widać, że nie kręcone z ręki, a dźwięk podejrzanie dobrze zebrany), pogadali z ludźmi, porobili im całkiem ładne ujęcia. Powiedzmy,

że jest to możliwe, ale w małym stopniu oddaje realia panujące w pociągach, zwłaszcza w najtańszej klasie ogólnej, do której filmowcy się nawet nie zapuszczają. Więcej niż raz miałem wrażenie, że **reżyseria wkroczyła do dokumentu bardziej niż powinna**. Ryczelibyście i darli koty z rodziną, posuwając się w tym do rękoczynów, gdy obok stoi kamera? Polecam też popробować filmować chińską policję, jakoś twórcom poszło bez bólu, ja nigdy nie zrobiłem nawet zdjęcia, bo mi się nie chce potem siedzieć na komendzie i być przesprawdzanym tam i nazad.

Film zebrał rewelacyjne recenzje i hektary nagród wszędzie, gdzie go pokazano. Roger Ebert dał mu 4/4 i napisał, że chińskie władze mogą pewnego dnia żałować, że rozdano tak szczodrnie dzieła Marksa obywatelom. Oczywiście każdy ma prawo do własnej opinii, niezależnie jak absurdalnie głupia by była. Nasze przemyślenia o chińskim mariażu kapitalizmu z socjalizmem to nieco dłuższe rozważania i na inny temat, ale zjem moją fedorę Indiany Jonesa, jeżeli tu będzie jakaś rewolucja związana z wyzyskiem pracowników. Więcej osób kojarzy Marks & Spencer niż Karola.

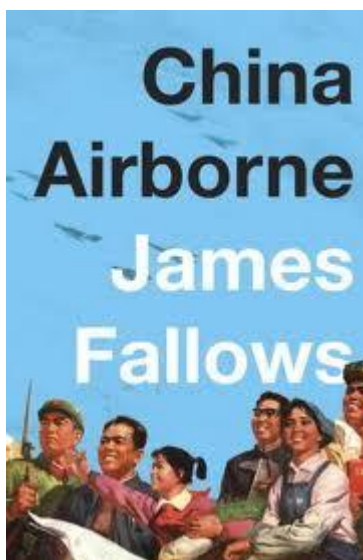
Znajomy Chińczyk kiedyś mi opowiedział: przed Spring Festival (zapewne i przed Złotym Tygłem) ludzie **łażą do świątyni składać ofiary**, by udało się kupić bilety. Że jego kolega stał przed dworcem w deszczu ze śniegiem **przez 37 godzin** i musiał w końcu iść do domu, bo się pochorował, biletów nie kupił. Że wszyscy próbują **na lewo zdobyć dojścia do kasjerów biletowych** i ich przekupują. O tym, że jakieś lotnisko wstrzymało odloty z powodu śnieżycy i **rozpoczęło się regularne mordobicie** ludzi zdesperowanych o dostanie się do domu. Takich historii są tu bez mała miliardy. Dla mnie są one ciekawsze niż problemy sycuańskiej rodziny, bo dzieci buntują się przeciw rodzicom na całym świecie. Ale tylko w Chinach muszą się pobić o bilet kolejowy, żeby to zrobić. Film nie jest zły, dla kogoś spoza Chin to jest pewnie i egzotyczny. Dla mnie problem polega na tym, że wzięto temat z niesamowitym potencjałem i wykorzystano go w może dwudziestu procentach, bo skoncentrowano się na raczej banalnych wątkach osobisto-rodzinnych. Ogląda się to bezboleśnie, wszystko trwa 85 minut, ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś przeżył oświecenie. Jest to typowy film dla wrażliwych lewicowych intelektualistów Zachodu: patrzcie, jakie życie w tych Chinach straszne i napiszcie znajomym (z iPhone'a składanego w Foxconnie), że muszą to koniecznie zobaczyć.

Ps. Dzieło da się łatwo znaleźć na torrentach, a czasem nawet na YouTube (ale kasują).



Werdykt jury: Dwie kacze głowy – rzecz nie jest ciężka w odbiorze, ale dla ogarniętych w temacie dość banalna i naiwna, więc kaczka zakąska wskazana.

[4.10.2013]



Znalazłem to dzieło pośród polecanych na eChinacities. Potem dopiero odkryłem, że autor jest wielce szanowanym i cenionym dziennikarzem amerykańskim, który przez lata mieszkał w Chinach. Potencjał pozycji wydawał się umiarkowany: **książka o lotnictwie cywilnym w ChRL.** Spodziewałem się nawału szczegółów technicznych, liczb, drobiazgowej analizy samolotów i opisów rzeczy, o których mam bardzo małe pojęcie. Ewentualnie – za sprawą okładki – że będzie to badziewne bredzenie o czasach wujka Mao i tym, że wtedy tu nie latali, a teraz już tak.

Szczęśliwie, **jest o wiele lepiej.** Już od pierwszego rozdziału jest przede wszystkim totalny ubaw związany z Chinami. Myślą przewijającą się przez dzieło jest ta, że o ile jeszcze coś się spieprzy w zabawce za 10 kuai, to ona się najwyżej posypie, ale jeżeli zrabie się coś w samolocie, to już bywa mniej zabawnie. Że podejście „**crappy but happy**” nie uda się w lataniu, bo tam każdy błąd to koniec. Najlepsze są właśnie momenty, gdy Fallows opisuje totalną prowizorkę, która tu jeszcze niedawno panowała. Wygrywa chyba wieża lotów, która miała zasłonięte okna. Wychodzi, że do niedawna nikt nie miał pojęcia o tym, jak powinna pracować kontrola lotów, że porozumiewać się z obsługą po angielsku to nie bardzo, że rozwiązania negujące całą historię awiacji, no Chiny po prostu. Lub szkolenia pilotów: do godzin wylatanych wliczano każdą minutę spędzoną za sterami włączonego samolotu. Gdzieś trafiło się tak, że włączonych stało kilka samolotów, żaden nie startował, bo akurat się nie dało, ale wszystkim za sterami leciały wylatane godziny. Piękna komedia. Płakałem ze śmiechu dobre kilka razy, bo absurdy Chin są tam wyniesione w niebiosy z efektem jeszcze lepszym niż na ziemi.

Technicznych szczegółów jest bardzo mało, wszystko zostało wyjaśnione wybitnie przystępnie. Szczęśliwie totalnej łopatologii nie ma, niemniej autor założył, że czytelnik nie wie za wiele o Chinach. Jak wspomniałem na wstępie, autor jest dziennikarzem i mieszkał kilka lat w Chinach. Trochę go to gubi, bo książka chwilami staje się opowieścią o wszystkim związanym z Chinami, znacząco odbiegając od latania. Jest to nadal dość interesujące, no ale miało być chińskie lotnictwo, a tu jest to,

co akurat mu się skojarzyło. Mnie to bardzo nie bolało, dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, jednak nie taki chyba był zamysł. Zresztą często te dywagacje jakoś tam się z lotnictwem wiążą, ale droga do tych skojarzeń bywa daleka. Myśl ostateczna jest taka, jak wszystkie o Chinach: diabli wiedzą, co będzie dalej. Jednak narzekał przesadnie nie będę, **lektura zdecydowanie przyjemna i wzbogacająca**.



Ocena końcowa: Jedna kaczka głowa, mała przegryzka w bardziej ogólnych momentach, ale raczej nie będzie konieczna.

Słowa mądrości

[7.10.2013]

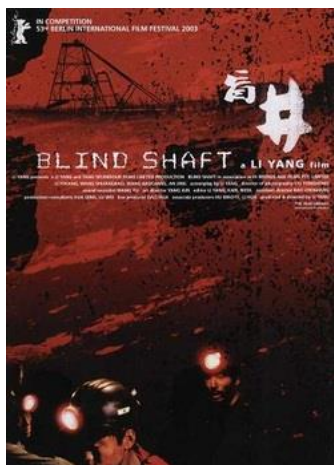
Piractwo jest obrzydliwe. To przez młodych i starych ludzi, którzy ściągają nielegalnie filmy, muzykę i książki, zaistniała obecna sytuacja na rynku pracy. To przez czytających Dostojewskiego z ekranu mordują się w Syrii. To oglądający Buñuela z netu przyczyniają się do napięć etnicznych w Xinjiang (sorry, Sinkiangu). To słuchający Nirvany bez odprowadzenia tantiem do Cobaina (ups...)! To ta Arabska Wiosna Ludów.... Ten cały bajzel w Rwandzie... Tak, to wszystko przez piractwo intelektualne.

Jasne chyba jest, że z tej okazji bezcelowym byłoby pytanie, **gdzie też zdobyć jakiś film lub książkę**. My po prostu idziemy sobie na jeden z pobliskich targów, następnie między działem łopianu i kogutów wynajdujemy stoisko z najnowszymi książkami i tam właśnie nabywamy oryginalne egzemplarze opisywanych pozycji. Na filmy chodzimy do kina, zwłaszcza te zakazane w ChRL. Gdy ostatnio byliśmy w Pekinie, Yung Chang miała szeroko zakrojoną promocję swej książki o Mao, rozdawała autografy na drugim piętrze Mauzoleum. Także z tego powodu, absolutnie nie ma po co pytać nas, skąd coś zdobyć. Jak to skąd? Z pobliskiej księgarni albo iść do kina! Polskie przekłady wartko wychodzą z drukarni, niezależne filmy chińskie podbijają Cinema City i Multikina! Idźcie, kupcie bilety i nacieszcie się tymi dziełami, ale broń boże nie pytajcie nas, skąd coś zdobyć! A już żebyśmy mailem coś wysłali...

China lacks everything except human beings

[12.10.2013]

Jak szaleć, to szaleć, dzisiejsza sekcja kulturalna pokrótce przybliży dorobek Yanga Li, już nie tak młodego chińskiego reżysera, którego – przy jego sprzeciwie – zalicza się do piątego lub szóstego pokolenia reżyserów. Sam twórca dzieli swój czas między Niemcy i Hongkong, gdyż jakoś specjalnie nie widzi swojej przyszłości i życia w ChRL (a to niewdzięczne bydle...).



Gdzieś znalazłem opis, że jest to zakazany w Chinach film o miłości górników i tak szczerze, średnio mi się paliło do niego, bo wizje górniczo-sinologiczne odrzucały. W końcu pewnego wieczoru włączyłem, bo podobno kto nie robi głupot, ten naprawdę nie żyje. Fabularnie sprawa zasadza się na dwóch starszych panach, którzy są górnikami z doskoku, ale mają lepszy pomysł, by godnie zarabiać na życie. Omamniają kogoś młodszego wizją szybkiego zarobku, zatrudniają się wspólnie w kopalni, by wkrótce uśmiercić nowicjusza w „wypadku”, a potem pobrać odszkodowanie. Pomysł ten jednak w pewnym momencie natrafia na pewne trudności.

Wiele w tym dziele brudu, węgla, ciemności i gadających facetów. Pościgów na motorach nie należy się spodziewać, w zamian można rzucić okiem, jak ludzie żyją i trochę się załamać. Może nie jakoś do poziomu łez, ale radości nie ma, gdy widzi się zasyfiałe robotnicze baraki i zachowania górników.

Sam reżyser mówił, że jego film dotyka problemu chciwości i że jego akcja mogłaby się rozgrywać gdziekolwiek na świecie. W tej formie nie bardzo, ale powiedzmy, że wiadomo, co autor miał na myśli. Film, ku autentycznemu zaskoczeniu reżysera, został zakazany w Chinach. Rzeczywiście, ciekawe czemu, przecież tu tak bardzo lubią pokazywać ludziom, że coś jest u nich nie w porządku. Podczas kręcenia ekipa pozbierała pogroźki, to też taki standard wspierania produkcji. Co jednak dziwne, drugi film Yang Li, chociaż o wiele bardziej okrutny w ukazywaniu chińskiego syfu i malarii, zabroniony nie został, tylko mu zmieniono zakończenie, by bardziej pasował do gustów widowni.

Dido Michielsen, Auke Kok, *Lisa-Xiu i Lin-Shi. Córki z Chin*

[19.10.2013]



Dzieło jest zapisem podróży, jakiej podjęło się holenderskie małżeństwo ze swymi adopcyjnymi córkami, dwiema Chinkami. Przemierzają Chiny i odkrywają ten cudowny kraj zarówno dla siebie, jak i dla swych pociech. Już po zarysie tematyki miałem złe przeczucia. Pocieszałem się, że skoro jedno jest pisarką, a drugie historykiem, to pewnie potrafią pisać i wiedzą, że banalny zapis wszystkiego dzień po dniu raczej wykończy odbiorcę, który nie ma do sprawy stosunku emocjonalnego. Wierzyłem też, że są w stanie pokusić się o jakieś głębsze refleksje, w końcu nawet jeżeli nie zajmowali się całe życie Chinami, to przecież wiedzą, co już było sto razy, a czego nie.

Myliłem się. Autorzy serwują nam **historię życia swojego, swoich cór i wszystkich emocji, które to towarzyszyły im podczas podróży do Chin**, najpierw celem adopcji dziecka jeden, potem dwa, potem już razem z dziećmi. O ile jeszcze chwilami ociera się to o interesujące (problem tożsamości chińskiego dziecka, które wygląda na Chinkę, ale nie mówi ani słowa po mandaryńsku), o tyle **dobrze 80% książki to opowieści o tym, że pojechali pociągiem, a córka jadła banana i jej smakowało.** Są z nimi inni holenderscy znajomi (też adoptowali chińskie dzieci, sport jakiś...), więc jeszcze dowiadujemy się o nich i ich dzieciach. Też niczego ciekawego. Cała wyprawa ma dla mnie pewien aspekt rozrywkowy, gdyż przejeżdżają dokładnie przez prowincję Anhui i odwiedzają miasta Hefei i Bengbu (córy w sierocińcach tamże bytowały swego czasu, Anhui to zagłębienie adopcyjne, tak tu bogato), ale i tak **schodziłem z nudów.** Jeżeli ktoś nie ma nawet nie zielonego, ale zielonkawego pojęcia o Chinach, to może się tam dowie nieco o kulturze prezentu, sposobie bycia ludzi, polityce jednego dziecka, jedzeniu, ale dla kogokolwiek z choćby podstawową wiedzą o temacie, to jest to wtórne jak mało co, a mnie już chwilami trafiało. Kurwa, jechać na Wielki Mur tam, gdzie jadą i dziwić się, że to nie takie coś w stylu Badaling, tylko kopczyk z kamieni i ziemi?

Internetu nie macie, żeby sobie sprawdzić? Wynajmować na każdym kroku stada przewodników i tłumaczy? Opisywać, jak się dziecku telefony komórkowe kupuje? Narzekać, że coś tam wyobrażało się sobie inaczej, a jest nieco brzydziej niż się marzyło, że będzie? Że występuje globalizacja, a Chiny są nastawione na zysk? Że jest się zmęczonym, bo pociąg? Ludzie, wy pierwszy raz z domu wyszliście dalej niż do sklepu?

Adopcja i problemy z nią związane to jedno, dla wielu osób pewnie dość wzruszające i skomplikowane zagadnienie, ale książka to **mordęga banalności obserwacji**, przegapiająca przy tym pełno innych zjawisk. Niemniej jak się sypia w ślicznym hotelu, a potem wsadza dupę do luksusowego pociągu z tłumaczką, to może być gorzej widać rzeczywistość. Niby jest to książka raczej o byciu rodzicami niż jeżdżeniu po Chinach, ale jak już się tu uparli przyjechać i o tym pisać, to fajnie byłoby, gdyby nie wyszła z tego opowieść powielająca banały i odkrywająca Amerykę (czyli Chiny) po raz tysięczny.

100% nagrody, koszt kaczych głów!



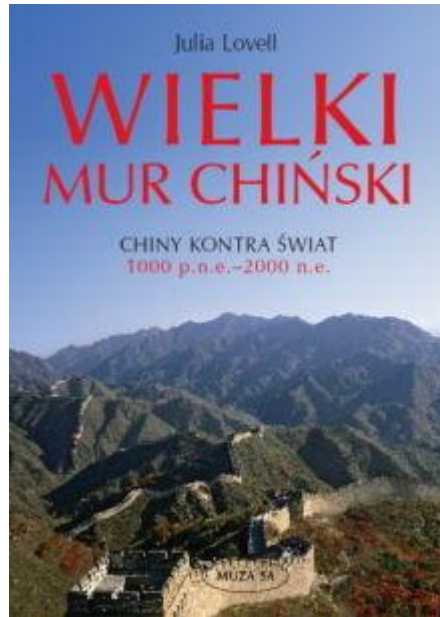
Z ostatniej chwili

[22.10.2013]

Obchody urodzin Mao nie ograniczą się jedynie do jego wsiny! 26 grudnia ma odbyć się premiera filmu animowanego *Kiedy Mao Zedong był młody*. Za nic nie możemy się domyślić, o czym to będzie, ale chyba zaliczymy pierwszą wizytę w chińskim kinie, bo akurat w tym wypadku nieznajomość języka nie powinna nam przeszkodzić w zrozumieniu fabuły. Obraz ten ma kosztować pięć milionów dolarów, więc bardzo nie szaleją. Wierzimy jednak, że powstanie dzieło na miarę przynajmniej *Ojca chrzestnego*.

Aby zebrać materiały do tejże produkcji, do rodzinnej wioseczki wodza wysłano sześciuset ochotników (pewnie jakichś studentów w ramach praktyk...) w celu zbierania anegdot na temat dzieciństwa Mao. Pewnie o tym, jak się posrał w pieluchy, na pewno wciąż żyją tacy, którzy to mogą pamiętać złote lata 90. XIX wieku i pilnie zwracali wówczas uwagę na to, że jakiś bachor leje na dynie. Ponoć twórcy filmu chcą zachęcić dzieci do zainteresowania się osobą Wielkiego Sternika, dlatego zamierzają ukazać go jako zwyczajne pacholę, które też czasem psociło i marudziło przy jedzeniu. Liczymy na to, że inne kraje pójdą tym tropem i już wkrótce powstaną kreskówki o dziecięcych latach Adolfa Hitlera, Pol Pota czy Idi Amina.

[27.10.2013]



Według noty wydawcy lektura tej książki jest konieczna, by zrozumieć Chiny.
Oddajmy głos wydawnictwu Muza:

„Obowiązkowa lektura dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Chin, epicka opowieść o podbojach i kataklizmach, które wstrząsały państwem chińskim, analiza dziejów Chin oraz ich relacji ze światem na tle historii Wielkiego Muru”.

Uwielbiam takie teksty, w jakichś 90 % przypadków gwarantują one, że dzieło będzie o wszystkim i o niczym, na dodatek chaotyczne, a przy tym prezentowało będzie pełną galerię wszystkich możliwych uproszczeń. Panuje jakaś obsesja z tym rozumieniem różnych krajów, a już szczególnie dalekich, takich jak Chiny czy Japonia. Ponad 25 lat mieszkałem w Polsce i nie rozumiałem tego kraju, a gdy mówimy o bycie politycznym rozmiarów Chin, to nie wiem, jak mielibyśmy go zrozumieć, którą część? Szanghaj czy wioski na zadupiu w Syczuanie? Intelktualistę z Pekinu czy rolnika z Shaanxi? Jedno wielkie reklamowe sranie dla naiwnych, którzy chcą wszystko za darmo i bez wysiłku, po jednej książce rozumiemy Chiny, po drugiej Japonię, a po trzeciej cały świat i już nigdy nie będziemy musieli czytać niczego więcej.

Autorka wymyśliła sobie taką koncepcję: **Wielki Mur Chiński jako symbol Chin**, jako najważniejsza część chińskiej historii, składowa mentalności od tysięcy lat plus czynnik determinujący społeczeństwo i stosunki z obcymi krajami. Uznała też, że nada dziejom budowli bardziej ludzki wymiar, zbierając świadectwa robotników, władców i poetów na temat. Pomysł dość karkołomny, bo mówimy o jakichś skromnych **3000 lat dziejów terenów dość rozległych**. Skupienie ich wokół kwestii Muru miało uczynić ją bardziej zrozumiałą. Oczywiście, że to się nie udało, popłyniemy z nazwiskami

i imionami, jeszcze zanim dojdziemy do 30% dzieła. Jeżeli ktoś nie zna dość dobrze geografii Chin współczesnych i dawnych, tym bardziej będzie czuł się zagubiony. Po dość dobrym starcie, sprawa udupia się w szczegółach, które zapewne dla pasjonatów tematu są fascynujące (a jeszcze bardziej znane), ale „normalnemu” odbiorcy siada pała, gdy czyta o kolejnej rebelii w jakimś VII wieku, kolejnym cesarzu, który tam kogoś wykastrował i powiesił na suchej gałęzi. A za chwilę kolejnym. A ci przenieśli stolicę tu, a ci tam, a potem byli Mongołowie, potem Chiny się rozrosły, zmałyły, wygrały, przegrały – i tak to leci. Co jakiś czas wrzucony jest jakiś liryk lub fragment z literatury, który wspomina o Murze, najczęściej zapiski jakichś biedaków, którzy na nim służyli i przeklinali, na czym świat i Mur stoją. Czekałem, aż dojdzie do wieku XX, ale tu czekało rozczarowanie: jest bardzo, bardzo niewiele z historii najnowszej. Można powiedzieć, że wiele się wtedy w sprawie Muru nie działo, więc dlatego, ale znowu, omawiając dzieje wcześniejsze, autorka nie miała oporów, by opisywać rzeczy równie mało z Murem związane, często jadąc analogią, że był mur psychiczny, embargo handlowe, zamknięcie kraju. Tu to dopiero lata 1949-1979 są wdzięczne dla tematu, a tam niestety tzw. lekka pizda, wiele się nie dowiemy, na Murze był Nixon i tyle. Potem następuje przeskok do dziejów internetu i opisywanie chińskiego firewalla jako kontynuatora tradycji wznoszenia murów, co jest chyba najciekawszą częścią dzieła.

Powtórzę: jeżeli ktoś interesuje się tematem, to zapewne zna większość tych faktów (plus o wiele więcej, no ja o XX wieku bym sobie bardziej poszalał). Jeżeli się nie zna, to się pogubi, zamęczy i zniechęci. Przysięgam, poza paroma anegdotami, nie zapamiętałem zbyt wiele z tego dzieła. Obawiam się, że lektura dzieła nie sprawi, że zrozumiecie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość Chin. Jeżeli kogoś dziko fascynuje Wielki Mur, to może się za to brać, ale dla większości ludzi lepszy będzie pokaznych rozmiarów kosz kaczych głów.



[1.11.2013]



Gdy Chiny porzuciły nieco ideały swego wielkiego wodza, ruszył też powoli przemysł filmowy. Najpierw było tak zwane piąte pokolenie (np. Zhang Yimou, Chen Kaige), które zrobili niemało rzeczy, dość różnorodnych, często osadzonych w historii Chin. Zajmowanie się współczesnością było bardziej ryzykownym sportem, ale bohaterami czyniono raczej normalnych ludzi i ich problemy (po latach 70. i rewolucji kulturalnej to było dość odmienne podejście). **Radością główną jednak jest to, że filmy te nie promują jedynego słusznego ustroju, że nie są socrealistyczne**, wiele spośród nich jest świetnych i pozgarniało tak nagrody, jak i zdobyło uznanie na całym świecie.

Większość produkcji powstawała pod nadzorem partii-matki i z jej finansowaniem. Reżyserowie tego nurtu albo dali dyla za granicę, albo robią dla telewizji, albo zgodnie z linią partii. Uważa się, że w dużej mierze V Generacja skończyła się po *Kill'em All*, to znaczy po 1989 roku i Tiananmen, chociaż według mnie wiele dobrych filmów reżyserowie tego nurtu tłukli całe lata 90., by dopiero potem totalnie się wypalić (*Flowers of War* Zhanga Yimou i *The Promise* Chena Kaige można sobie spokojnie odpuścić).

Szóste pokolenie zaczęło jako filmowcy wybitnie niezależni, nie pytali się o nic matki-partii, tylko chwycili kamery i poszli kręcić o tym, co ich głównie boli. Najczęściej o tym, że **transformacja ustrojowa nie wszystkich traktuje równo, że jest bieda, że ludzie są samotni, nieszczęśliwi**. Oczywiście te filmy nie miały oficjalnej dystrybucji, budżety były dramatycznie małe, a aktorzy to amatorzy. Dzięki nielegalnemu obiegowi filmów DVD, produkcje te stały się znane w kraju, dzięki festiwalom kina niezależnego także poza granicami. Za jednego z najważniejszych przedstawicieli nurtu uważa się **Jia Zhangke**. Jego flagowym dziełem o tytule *Świat* zajmiemy się dzisiaj.

Film traktuje o pracownikach pekińskiego parku rozrywki, który zbiera cały świat w jednym miejscu. Są w Chinach takie cuda, budują Tadz Mahal, obok Koloseum i Wieżę Eiffla, a gawiedź wali tłumnie i tłucze sobie pod tym foty. Pracownicy tego przybytku pochodzą z różnych

miejsce w całym kraju (podobno mówią chińskim w różnych wariantach), ich życia raczej nie są pasmami radości i szczęścia.

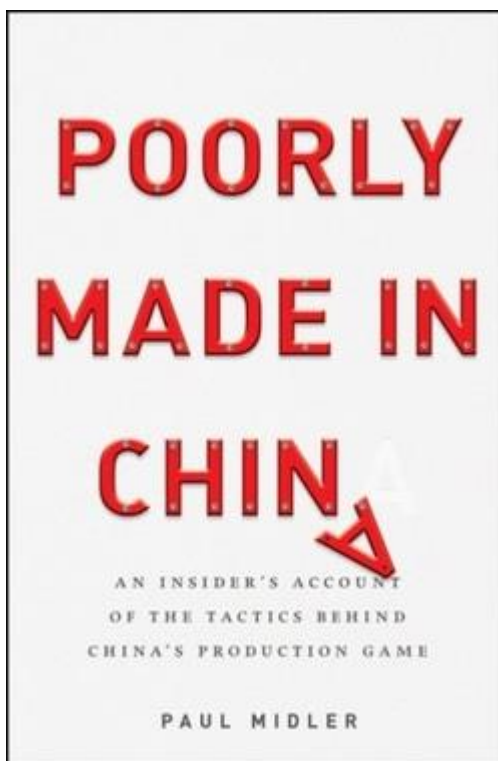
Fabula jest wielowątkowa, ale głównie koncentruje się na związku Tao i Taishenga, ona jest tancerką, on ochroniarzem. Poboczne wątki dotyczą innych pracowników parku, ich życia uczuciowego, jak również znajomych, którzy tyrają na jednej z pekińskich budów. Ma to wszystko sens i jest dobrze przemyślane, wszystko czemuś służy, nie ma wątków ani bohaterów przypadkowych. Oczywiście wpakowanie akcji w nierealny świat pozwala na pisanie elaboratów na temat życia, jego jakości, sztuczności i czego tam tylko się chce.

Mnie się *Świat* podobał, nawet z lekkim wskazaniem na bardzo, jednak jestem ostrożny w polecaniu go. **Rewelacyjnie ukazuje codzienne chińskie życie**, wszystko dokładnie tak wygląda, takie Ergotou pije klasa robotnicza (i ja) i z takiej łazienki korzysta (ja niestety też), a tak się bawi w KTV. Tak, tacy właśnie są lokalni geniusze biznesu, takie ciuchy noszą normalni ludzie i takie prace wykonują. Tak, rodzina z prowincji tak właśnie się ubiera. Jest to mym skromnym zdaniem obecnie **najlepsze dzieło pokazujące współczesne Chiny**, realia zwykłego, codziennego życia milionów bez popadania w dramat i skrajność. Nie jest to jednak film akcji, wiele osób narzeka, że cierpiało i że się to snuje. Wymiar kary jest dość poważny, bo 140 minut i nie ma pościgów na motorach i wybuchających helikopterów. Nawet na standardy kina artystycznego, to nie gna, ale jeżeli chwyci nas tempo narracji, to wówczas ogląda się niemal jak opowieść o znajomych.

Jestem jednak w stanie zrozumieć, że kogoś ten film wykończył i że znienawidził po nim chińskie kino. Polecam więc z zastrzeżeniem, że jest to film dla tzw. „widza wymagającego”. *Świat* to pierwszy film Jia Zhangke zrobiony z błogosławieństwem władz. Chłop dokonał rzeczy niemożliwej, film podobał się zarówno w kraju, jak i w szerszym świecie. Był też pewnym znakiem, że postępuje liberalizacja, może dziko szalowa ona nie jest, ale można powoli zaczyna robić rzeczy nieco poważniejsze i dotyczące problemów współczesnych. Chwilami przygryzałem kaczą głową, ale tylko trochę.



[8.11.2013]



Tytuł wywołał moją ekstazę, ale potem pomyślałem sobie: ech, to pewnie będzie o tym, że towary z Chin są fatalnej jakości, a pracownicy źle traktowani. Cyferki, parę opowieści z życia i dużo ogólników. Wziąłem się bez wielkiej wiary do lektury. Autor przez wiele lat działał jako tłumacz-pośrednik dla amerykańskich firm, które chciały robić biznes w Chinach. Wynajmowano go, on służył jako łącznik, posłaniec i w jakimś sensie nadzorca. Przyznam, że gdy czyta się, jakie to życie między młotem a kowadłem, to nie wiem, jakim cudem nie oszalał. Spędził tak kilkanaście lat, więc materiału mu się nazbierało niemało, ale selekcji dokonał rzetelnej.

Po kilku procentach książki czytałem z ogniem w oczach. Trudno powiedzieć, jak do biznesu, ale na pewno do pisania talent ma. **Rzadko trafia się dzieło, które tak dobrze opisuje naturę całego zjawiska** w oparciu o wybrane doświadczenia prywatne, a wszystko to podane z jednej strony z dystansem, z drugiej z pełną świadomością własnych błędów i tego, jak bardzo się czasem myliło. Panowie i panie, ja płakałem, gdy czytałem opisy chińskich praktyk biznesowych. Kojarzemy wszyscy (lepiej lub gorzej) te opowieści o obowiązujących zachowaniach, nawykach, modelach prowadzenia interesu, by odniósł on sukces. Że tego czy tamtego robić nie można, bo od razu wszystko legnie w gruzach, że lojalność, stabilizacja, zaufanie, podpis jest święty, terminy jeszcze bardziej, inne takie. Autor też je zna, bo skończył odpowiedni kierunek na prestiżowej uczelni w USA, znają je także jego różni pracodawcy, również poddani najlepszej na świecie edukacji z biznesu. Nie znają ich jednak Chińczycy, a jeżeli nawet coś tam dociera, to wywołuje wesołość, a znacznie częściej obojętność. Okazuje

się, że prymitywnym cwaniactwem, chamstwem i bezczelnością można bez problemu dawać sobie cudownie radę z wielkimi importerami z USA. Można kłamać, oszukiwać, zmieniać zdanie w ostatniej chwili, szantażować i łamać kontrakty, kraść własność intelektualną, Chińczykom uchodzi to wszystko bezkarnie. Jednak autor i swoich krajanów nie wychwala pod niebiosa, wspomina, że wielu przybywało, nie wiedząc absolutnie nic o Chinach i Chińczykach, ba, nie mając nawet podstawowej wiedzy geograficznej i ochoty, by się czegokolwiek o tym dowiedzieć, bo przecież oni przyjechali pieniądze robić, a nie takie pierdoły.

Dzięki lekturze *Poorly Made in China* bardzo łatwo zrozumieć, dlaczego tu się produkuje taki straszny chłam, który staje się tylko gorszy i potem jeszcze gorszy, a nasze sklepy uginają się pod tą katastrofalną tandetą. **Autor po pracy w przemyśle kosmetycznym przestał w ogóle używać mydła.** Opisuje też swe doświadczenia z innych sektorów. Wspólnym mianownikiem jest chiński sposób prowadzenia biznesu, czyli oszukiwanie, ile i gdzie się da, a także losy osób próbujących odnieść sukces we współpracy z Chińczykami. Nie, nie udaje się, co zresztą jest jasne od pierwszych stron, że to nie będzie o rekinach biznesu.

O ile cała książka jest dość zabawna, jest w niej też parę zawołowanych przemysłów o tym, dokąd świat dotarł w pogoni za najniższą ceną i powiększaniem zysków. O tym, jak dzięki współpracy z chińskimi firmami, amerykańskie znacznie obniżyły swoje standardy i niemal olały klienta. O tym, że współcześnie nawet nie ma po co oglądać certyfikatów i składu produktu, bo to wszystko może być nieprawda. Z jednej strony jest to pocieszna pozycja, którą rewelacyjnie się czyta. Z drugiej jednak smutny i przerażający w swej wymowie zapis upadku świata, w którym kiedyś istniała jakaś elementarna uczciwość.

Werdykt: Zero kaczych głów, gwarantowane popołudnie pełne wrażeń (bardzo długie to nie jest).



[14.11.2013]



Jeżeli ktoś interesuje się chociaż trochę komiksem, to duże szanse, że zna personalia Guya Delisle. Autor pochodzi z Quebecu, większość jego prac dotyczy Azji, z tych najbardziej znany jest *Pyongyang*. Na drugim miejscu są *Kroniki birmańskie*, zaś pod względem zachwyty i popularności trylogię zamyka *Shenzhen* (które było pierwsze).

Delisle tak się pobujał po świecie, bo pracuje w animacji i służył za zagranicznego eksperta najpierw w Chinach, a potem w Korei Północnej (w Birii zaś znalazł się za sprawą małżonki – lekarki). Autor miał wątpliwe szczęście pomieszkania w Shenzhen przez trzy miesiące w latach 1997-1998. Jego wrażenia z pobytu są mniej więcej takie, jak większości osób mieszkających obecnie w mniejszych miastach Chin. **Nuda, szarżyzna, duże budowle, syf, odraza, niemożność nawiązania kontaktów międzyludzkich, niemożność zrozumienia Chińczyków nie tylko pod względem językowym, początkowo kłopoty ze zdobywaniem jedzenia, walka, by sobie jakoś życie ubarwić, liczenie dni i godzin do końca zsyłki.**

Komiks fabularnie nie powala, jest to zbiór scenek z życia w Chinach, jedne ciekawsze, inne mniej. Czyta się oczywiście szybko, jak to komiks, bólu nie ma, klimat życia oddany jest dobrze, ale nie ma tu nic, nad czym można się zatrzymać i podumać, bez prób zastanowienia się, dlaczego jest tak, a nie inaczej, tylko do znudzenia o tym, że jest nudno. Narysowane jest w porządku, niektóre kadry świetne, inne po prostu zwyczajne. Jeżeli jednak zna się późniejsze prace autora, to wie się, że jego styl ulegnie ewolucji. Opowieść o Korei Północnej wyciąga pełno codziennych absurdów z życia tamże, bywa zabawnie i smutno. Przeczytanie potem *Shenzhen* to wielki krok wstecz. Gdy pewnego czerwcowego dnia wysiedliśmy z pociągu w Shenzhen, usiedliśmy z wrażenia. Obecnie to jest jak nie-Chiny, ruch uliczny ma sens, względnie czysto, ludzie dość zorganizowani, mniej plucia, więcej zachodnich dóbr. Domyślam się, że w latach 90. jeszcze nie było tak dobrze, ale i tak na pewno lepiej niż to, co my mamy każdego dnia. Szkoda, że autora nie przysłali na większe zadupie, dopiero by się ubawił i by miał co rysować. Polecam do szybkiego przeczytania, ale kupowanie sobie oryginału za kilkadziesiąt PLN to byłaby bardzo odważna decyzja. Daję **jedną kaczą głowę** za brak głębszych przemyśleń.

Zheng Chunhui i jego rzeźba

[19.11.2013]

Nowy rekord Guinnessa w kategorii najdłuższej drewnianej rzeźby został przed kilkoma dniami (a dokładniej 14 listopada) przyznany panu Zheng Chunhui. Spędził on ostatnie cztery lata na dłubaniu w pojedynczym kawałku drewna dzieła o długości 12,286 m, wysokości 3,075 m i szerokości 2,401 m. Zheng jest uznanym w Chinach rzeźbiarzem, słynącym z łączenia tradycji snycerskich ze sposobami wyrazu oraz tematami typowymi dla malarstwa. Jego dzieła znajdują się w wielu chińskich muzeach.



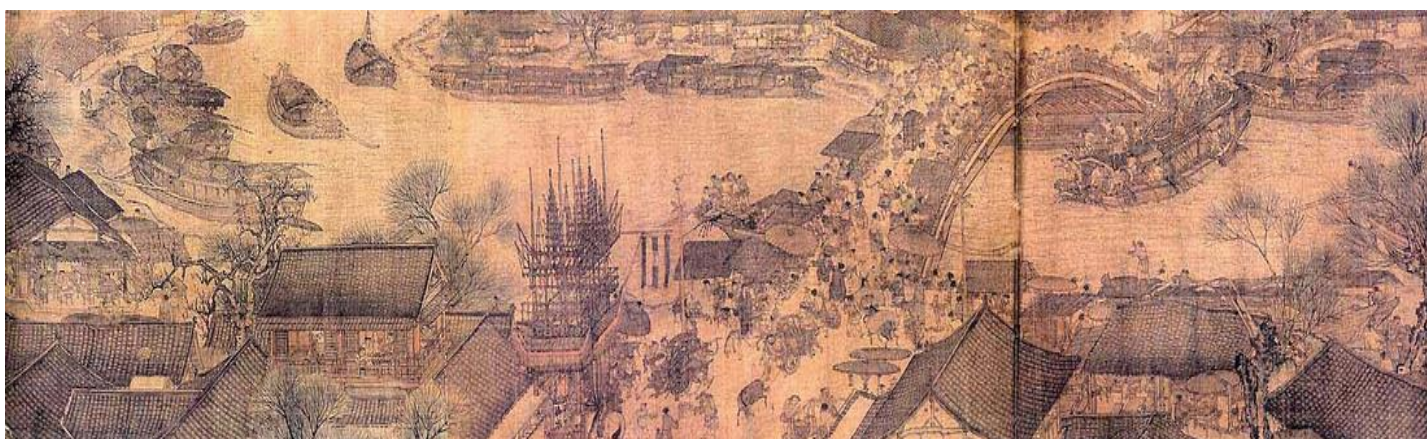
Zheng Chunhui (z lewej) odbierający certyfikat rekordu Guinnessa
Źródło: ecns.cn.





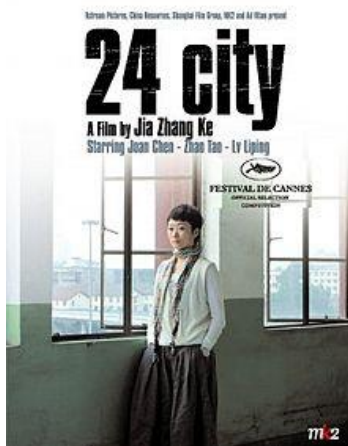
Zbliżenie misternie rzeźbionych detali
Źródło: ecns.cn.

Gigantyczna rzeźba jest trójwymiarowym odzwierciedleniem pochodzącego z przełomu XI i XII wieku obrazu o tytule *Widok wzdłuż rzeki podczas święta Qingming* autorstwa **Zhang Zeduan**. Obraz ten nazywany jest *Chińską Mona Lisą*, chociaż zamiast tajemniczo uśmiechniętej szlachcianki ukazuje święto zmarłych w mieście Kaifeng, jednakże w świadomości mieszkańców Państwa Środka jest właśnie tym, czym jest dzieło Leonarda z Vinci dla Europejczyków.



Fragment obrazu zawierający scenę z ludźmi przechodzącymi przez most, który można wypatrzeć w rzeźbie Zhenga Chunhui
Źródło: Wikipedia.

[22.11.2013]



Być może w kręgu znajomych macie kogoś, kogo bardzo, bardzo nie lubicie, ale musicie z tą osobą utrzymywać poprawne kontakty. Jeżeli doszło do tak niekomfortowej sytuacji, możecie polecić tej osobie film **24 city**. Jest to quasi-dokument o **Chengdu**, pracownikach fabryki w tymże mieście i budowaniu nowego osiedla luksusowego właśnie o nazwie **24 city**. Przez mniej więcej połowę wypowiadają się „zwykli ludzie”, potem zaś zawodowi aktorzy. Podobno zebrano tak wiele wywiadów, że musiano je skumulować w fikcyjnych postaciach, a nie dlatego, że tamci byli zbyt odrażający, mieli fatalną dykcję, bredzili bez ładu i składu. Zapewne też przypadkiem zaangażowano Joan Chen, chyba najbardziej znaną chińską aktorkę na świecie.

Dopóki to leci na ludziach, to jeszcze da się oglądać. Ekstazy nie ma, ale historie dość przejmujące, nawet wciągają. **Dużo w tym ludzkiego dramatu, zawiedzionych nadziei, poczucia bycia oszukanym przez system, zmarnowanego życia.** Wszystko to przetykane kadrami rozwalanej fabryki, opuszczonych hal produkcyjnych, wielu dowodów na to, że świat tych ludzi odchodzi i zostanie zastąpiony nowym, bardziej kolorowym. Ale czy lepszym? – tak pisałibyśmy interpretację na lekcjach polskiego. Potem, kawałek za połową, sprawa totalnie siada, aktorzy wypadają mniej wiarygodnie i wyglądają za dobrze po ludziach, którzy doświadczyli najpierw przyjemności życia w socjalizmie, a potem kapitalizmie...

Atmosfera rozmydla się w obrzydliwie długich, artystycznych ujęciach miasta, kwestie są chwilami aż bzdurne i średnio spójne, emocje sztuczne. Ostatnie minuty oglądałem, walcząc, żeby dotrzeć do napisów. Lubię filmy Jia Zhangke, ale chwilę zajmie, zanim odważę się na kolejny. Dzieło trwa 112 minut, co jak na dokument jest metrażem znacznym i moim skromnym zdaniem średnio potrzebnym. Zostawienie jedynie „prawdziwych” ludzi (i dodanie paru), skrócenie tego o dobre 20 minut wyszłoby filmowi jedynie na plus. Jeżeli skusimy się na seans, wówczas kupujemy dużo, dużo kaczych głów. Kasa reklamacji nie przyjmuje.



[29.11.2013]

Zagadka pierwsza: Czy Tajwan jest w Chinach? Zdaniem większości świata – nie, ale zdaniem Chińczyków – tak.

Zagadka druga: Co wspólnego ma ze sobą tajwański pop i Wisława Szymborska? Otóż niejaka **Hebe Tien**, gwiazda tamtejszego przemysłu muzycznego, zainspirowała się poezją noblistki i w efekcie nagrała piosenkę o tytule *Insignificance*, w której na dodatek recytuje fragment wiersza *Pod jedną gwiazdką*. Recytacja ta brzmi dość komicznie, bo jak inaczej może brzmieć, kiedy użytkowniczka języka mandaryńskiego próbuje mówić po polsku.

Piosenki słucha się całkiem miło, czego nie da się powiedzieć o wielu przykładach nurtu mandopopu (każde wyjście do supermarketu to gombrowiczowski gwałt przez uszy), dlatego zachęcamy do zapoznania się. [Opcja dla obywateli krajów demokratycznych, czyli YouTube](#).

Jung Chang, *Dziki łabędzie. Trzy córki Chin*

[29.11.2013]



Zgodnie z tytułem (choć trochę metaforycznie), dzieło traktuje o losach autorki, jej matki i ich babki, które miały niepowtarzalne szczęście żyć w Chinach czasów przemian. Ich losy obejmują okres od początku XX wieku mniej więcej do końca rewolucji kulturalnej. W dzieciństwie babce jeszcze krępują stopy, jej córka młodo przyłącza się do komunistów i walczy z Kuomintangiem, zaś wnuczka ma już całe życie pod czerwonym sztandarem. „Trzy różne oblicza Chin, jeden syf” – wydawałoby się najlepszym hasłem reklamowym tej książki, ale zdecydowano się na jakieś inne. Kolejno wszystkie członkinie rodu mają losy średnio radosne, babkę uciska jeszcze konserwatywny feudalizm, matkę i córkę już wujek Mao i wszystkie radości związane

z życiem w jego czasach. Pod tym względem Jung Chang miała grubo, rodzice byli oskarżani i piętnowani, więc i ona też dostała swoje. Autorka dzieła okazała się być bardzo niewdzięczna względem Wielkiego Sternika – nie krępuje się ze wskazaniem winnego całego chłamu, cyrku i zamętu, w jaki jej ojczyzna wpadła na wiele lat. Najbardziej interesujące są wielkie wydarzenia historyczne z perspektywy młodej dziewczyny, która raz bierze udział w wielkim skoku, potem w rewolucji kulturalnej, a jeszcze przy tym się edukuje w zakresie elektryki, bo tak jej kazano.

Świetne są opisy dnia codziennego, podkreślanie atmosfery paranoi, strachu, niepewności, co też złego (bo dobrego to nic) życie przyniesie. Do tego powtarzanie, że indoktrynację mieli taką fest, że przez lata jej do głowy nie przyszło, że wujek Mao może być czemuś winien. **Książka jest zabroniona w Chinach, co należy odbierać jako pewną rekomendację dla jej walorów realistycznych.** Mam pewne doświadczenie w polecaniu tego dzieła: według mej wiedzy przeczytały go dzięki mnie trzy osoby i wszystkie trzy były zachwycone. Jest to chyba najlepszy start do zaznajamiania się z problematyką chińską XX wieku. Cytaty, które zapadają w pamięć:

„Była gorliwą buddystką i każdego dnia, modląc się, prosiła Buddę, by nie reinkarnował jej znowu w kobietę”; „Może być pies albo kot, tylko nie kobieta — mamrotała do siebie”.

Werdykt: Zero kaczych głów!



[18.12.2013]



Ile to trwa? OK, półtorej godziny będzie. Ten wysublimowany sposób zadecydował o wyborze filmu *Król masek* (w oryginale *Biàn Liǎn*) na wieczorną projekcję. Akcja toczy się w latach 30. XX wieku w prowincji Syczuan. Dzieło traktuje o tytułowym królu masek, panu w dość podeszłym wieku, który zarabia na życie, chodząc po Chinach i dając przedstawienia, w trakcie których ubiera i zdejmuje różne maski. Brzmi to może durnie, ale wygląda całkiem fajnie. Bohater nie ma męskiego potomka, więc w obawie, że jego sztuka zginie, adoptuje dziecko, by nauczyć je tej sztuki. Emeryt, dziecko, łatwo się domyślić, w jaki sposób budowana będzie akcja i humor, podobnie dramat. W tle tego opowieść o tym, jakie jest życie artysty, że niekoniecznie najlepsi są najpopularniejsi i najbogatsi, a znacznie częściej na odwrót.

Gatunkowo jest to komediodramat. Można powiedzieć, że to film o tym, żeby się zastanowić, czy chce się mieć dziecko. Zagrane świetnie. Pełno jest w tym rzeczy, które ludziom kojarzą się z Chinami – buddyzm, stare miasteczka w wiadomym stylu, wiekowy mędrzec, stroje z epoki, bai jiu. Nawet wiedząc, jak to teraz wygląda, miło się ogląda, że kiedyś było ładniej. Najlepszy moment wizualny, to gdy odwiedzają Leshan i Wielkiego Buddę. Zobaczyć to bez setki turystów, wspaniałe doświadczenie! Do 2/3 jest bardzo dobrze, potem się nieco psuje, ale i tak zdecydowanie po stronie: **warto**. Ja tam wiem, jakiego gnoju dzieci potrafią narobić, bo mam to codziennie w szkole, oczywiście to filmowe jest specjalnie uzdolnione w tym temacie (ale gorszych uczniów też już przerobiłem). Wiele osób raportuje, że ryczało, bo wzruszające. Owszem, ale jednak bez przesady, krokodylich łez nie wylałem.

Werdykt: Jedna kaczka głowa do przygryzienia przy końcówce.



[12.01.2014]



- Dawno nie oglądaliśmy żadnego chińskiego filmu;
- Mamy już kilka dobrych powodów, żeby nie oglądać chińskich filmów.

Wybór padł na *High Tech, Low Life*, dokument produkcji amerykańskiej o chińskich blogerach, którzy piszą o sprawach niewygodnych dla władzy. Wybrano dwóch: młodego o pseudonimie Zola i starszego o pseudonimie Tiger Temple. Film na zmianę pokazuje nam dwóch bohaterów, którzy przemierzają Chiny i opisują różne dramaty, którymi kraj ten uszczęśliwia swoich obywateli. Tu jakiś toksyczny wyciek, tam gwałt dokonany przez syna oficjela.

Bohaterów różni styl prowadzenia swoich blogów. Zola gna motorem od newsa do newsa, pakuje się przed obiektyw, gdy tylko może, leci na ilość, nie na jakość. Da się to zrozumieć, bo rodzina go ciśnie, żeby zrobił coś sensownego ze swoim życiem, więc ten desperacko próbuje się przebić, by móc zostać dziennikarzem na cały etat i z tego żyć. „Sensowne życie” w mniemaniu rodziny oznacza oczywiście małżeństwo, mieszkanie w hunańskiej wiosce i handel warzywami.

Tygrys finansowo stoi lepiej, ma mieszkanie w Pekinie, jest emerytem. Siedzi nad każdą historią miesiącami, zaprzyjaźnia się ze swoimi bohaterami i potem do nich powraca, bada każdy detal i ma dwa koty. Preferuje rower, którym pokonuje tysiące kilometrów, czasem z kotem w koszyku.

Film ma kilka pomysłów: pokazać cenzurę w Chinach. To się w miarę udaje, ale wielki news to nie jest. Pokazać dwa pokolenia, których różne podejście do blogowania jest wynikiem ich odmiennej filozofii życiowej, ukształtowanej przez Chiny na kolejnych etapach rozwoju kraju. To się w pewnym sensie udaje, ale wymaga od widza dopowiedzenia sobie paru rzeczy. Niestety scena, która powinna być powalająca, uderzająca i zapierająca dech w pęcherzykach płucnych, czyli spotkanie dwójki bohaterów, jest tak fatalna, że wszystko widzowi siada. Kolesie siedzą pod parasolem, ustalają, że jeden jest młodszy, a drugi starszy i właściwie amen.

Jeżeli ten opis kogoś zachęcił, to raczej przepraszam. Film nie jest straszny, trwa 87 minut, więc niby to niski wymiar kary, ale pełno jest w nim scen absolutnie niepotrzebnych – a to koleś jedzie na rowerze, a to drugi coś chaotycznie chromoli do kamery. Każda osoba choćby śladowo zorientowana w temacie wie to wszystko od dawien dawna. Jest to film z cyklu: a, zrobimy o dalekim kraju, ludzie niczego nie wiedzą, to im opowiemy, jak tam źle. To wszystko prawda, ale lepiej sobie opieprzyć parę (tak ze cztery) kaczych głów, niż oglądać ten film.



[16.04.2014]



Polecam nic nie czytać o tym filmie, nie sprawdzać, o czym jest i ile trwa. Tak będzie najlepiej i tym sposobem zapewnimy sobie najwięcej niespodzianek. Dlatego też nasz opis i wrażenia są o wiele niżej. **W skrócie: polecamy, niemal bez zastrzeżeń. Zaznaczamy:** nie jest to film akcji, chociaż jest nawet pościg na motorze i trochę strzelają.

Film się tak spodobał w Chinach, że nie ma żadnej dystrybucji, nie wydano go też na DVD. To dziwne bardzo nie jest, ale z tego powodu nie dopuścili go też do ubiegania się o nagrodę Chińskiej Gildii Reżyserów. W ramach protestu przeciwko temu przewodniczący jury **Feng Xiaogang** odmówił wręczenia wyróżnienia innym filmom, argumentując, że są tego niegodne, a skoro najlepszego nie ma, to nie, no kurwa, nie (choć ujął to nieco inaczej: „Chiny nie potrzebują obecnie klepania się po plecach, tylko ustanowienia wyższych standardów”).

Film opowiada historie czterech osób, które mają przyjemność mieszkać we współczesnych Chinach. Niestety, mimo tego jakimże rajem ten kraj obecnie jest, nie udaje im się w nim znaleźć szczęścia i wyczyniają rzeczy, które zbierają mniej lub bardziej krwawe żniwo. Wszystkie historie oparte są na faktach i to nawet faktach autentycznych. Niemal wszystko w tym dziele jest idealne: aktorzy, nastrój, muzyka, montaż, dźwięk. Jest to też jeden z czołowych filmów pokazujących, jak pięknie jest w ChRL: syf, bieda, korupcja, nędza moralna, kult pieniądza, wieczny plac budowy, beton albo wioski z wieżowcami. Trochę dziwi druga historia, która mi średnio pasowała do pozostałych, ale da się zabawić w interpretację taką, przy której i ona bardzo dobrze się wpisuje w resztę.

Trudno rozwodzić się nad tym dziełem, nie wchodząc w szczegóły każdej z historii. Pierwsza jest o panu, który ma dosyć korupcji w rodzinnej wiosce, druga o chłopie, który lubi strzelać, trzecia o trudnym życiu pracownicy salonu masażu, czwarta o perspektywach egzystencjalnych młodzieży.

Przyznam, że dawno mnie nic tak nie wkurwiło jak plakat do tego filmu: przecież to jasne, że skoro film z Azji, to dajemy zakrwawioną Azjatkę. To, że jest to w ogóle niereprezentatywne dla całości? Jebać. Zresztą drugi plakat (z wybuchem) jest równie idiotyczny. Przecież jak ktoś zobaczy najpierw Azjatkę w posoce, a zaraz potem eksplozję, to kupi bilet i oglądnie ten film, a wtedy krew go zaleje bardziej niż panią na afiszu.

Yu Hua, Zhang Yimou, *To Live*

[12.05.2014]



Jeżeli film ma średnią 8,1 na IMDB, jeżeli za zrobienie go reżyser dostał dwa lata zakazu produkowania filmów w Chinach, a samo dzieło zostało oczywiście zakazane, to jasne jest, że będzie to przynajmniej dobre, a najpewniej bardzo dobre dzieło. Po prostu, Krajowe Biuro Prasy, Radia, Filmu i Telewizji ma rewelacyjny gust, lepszy nawet niż selekcjonerzy w Cannes i bez pudła blokuje filmy świetne. Takie właśnie jest *Życie!* Zhanga Yimou.

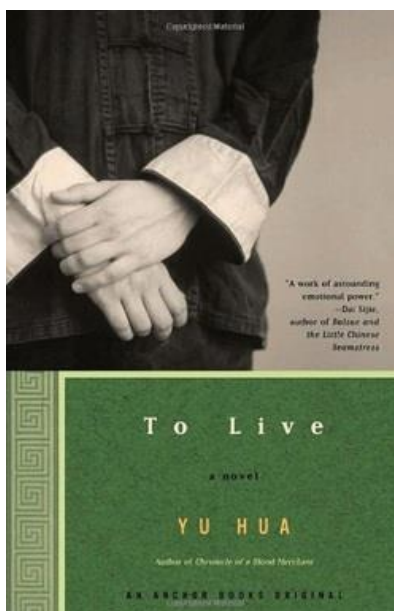
Jest to jeden z flagowych filmów tegoż reżysera i jego ulubionej aktorki Gong Li. Opowiada historię Fugui, młodego dziedzica, który lubi hazard. To oczywiście jedynie punkt wyjścia, w ciągu dwóch godzin filmu pokonamy z głównym bohaterem jakieś czterdzieści najciekawszych lat z historii Chin. Zgodnie z tytułem, jego głównym celem będzie po prostu żyć i troszczyć się o swoją rodzinę. Jednak okoliczności przyrody i historii nie uczynią tego łatwym.

Dałoby się napisać o tym filmie jedynie dobrze: aktorsko powala. Mimo opowiadania o czasach raczej średnio radosnych, nie brakuje scen zabawnych (wątek zięcia kładzie chyba każdego). Cała strona techniczna – kadrowanie, kostiumy, dźwięk – na najwyższym poziomie. Fabuła skupia się na rodzinie Fugui, na którą spadają wszystkie nieszczęścia, jakie mogły spotkać człowieka w tamtych czasach. Nie usłyszymy od bohaterów ani słowa krytyki wielkiego skoku czy też ani jednej refleksji na temat rewolucji kulturalnej, możemy jednak przekonać się, jak idiotyczne polecenia wydawane na wysokich szczeblach odbijały się na losach podobnych im ludzi. Zhang najwyraźniej pokazuje absurd ówczesnych czasów w scenie szpitalnej. Władza nakazała wtrącenie wszystkich lekarzy – burżuazyjnych wrogów ludu! – do więzień, na ich miejsce wstawiła zaś młodzieżówkę partyjną, która nie miała zielonego pojęcia

o medycynie. Efektów można się domyślić.

Film stara się zrównoważyć dramatyczne wydarzenia z życia chwilami radosnymi. Między wątkami zabijania wrogów ludu a odbieraniem siłą wielowiekowego dziedzictwa pojawiają się pocieszne sceny malowania portretów Mao na ścianach czy urządzanych dla robotników przedstawień teatralnych. Reżyser musiał się nagimnastykować, żeby ten film w ogóle powstał, więc najwyraźniej uznał, że lepiej w takiej formie niż żadnej, kto mądry, to będzie wiedział, jak te czasy wyglądały, a kto głupi, i tak pewnie nie oglądnie. Pod względem uznania artystycznego Zhang Yimou nie mógł zrobić sobie lepiej, zebrał w diabły nagród. Niestety kasowe to nie było – w Chinach zakazane, a na Zachodzie funkcjonowało jedynie w bardzo ograniczonej dystrybucji, bo i kogo to obchodziło? Dla filmowców był to też jasny znak, że lepiej uważać z ilością filmów na wiadome tematy, bo kariera może się szybko skończyć. Niemniej jest to solidny kamień milowy w historii chińskiego kina, oglądany zapewne na każdym kursie kina azjatyckiego.

Yu Hua, *To Live*



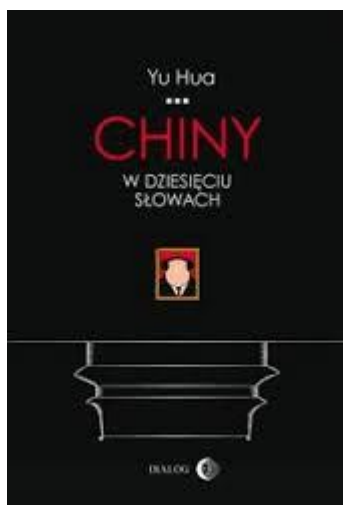
Rzadko zdarza mi się machnąć książkę w półtora dnia. Jednak *To Live* wciągnęło mnie tak, że wołałem je od internetu i spania, więc czytałem w każdej wolnej chwili. Wydawało mi się, że po filmie to nie ma za bardzo po co czytać, bo pewnie to samo. Szczęśliwie, nie! Wszystko, czego mogło nam brakować w filmie, jest tutaj. Wielki skok zbiera solidne żniwo na polach, obłęd wypalania metalu jeszcze chyba nigdy nie był tak fajnie opisany (może jeszcze u Jung Chang). Całość jest o wiele bardziej depresyjna, a przy tym bardziej życiowa. O wiele więcej dowiadujemy się o życiu rodzinnym Fugui i jego dzieciach. Sytuacji zabawnych właściwie brak. W książce można wyraźniej odczuć samotność i emocje głównego bohatera, podobnie jak i panujący wokół chaos – a to wojny, a to życia w wiadomym systemie. Nawet jak na chwilę zaczyna robić się lepiej, to wiadomo, że długo dobrze nie będzie, wszystko rąbnie.

Książka była wielkim bestsellerem w kraju autora, nieco mniejszym (hm, żadnym?) na świecie, co nie przeszkadza mu mieć pewnego grona fanów. W ojczyźnie oskarżano go o wszystko, o co można, mnie najbardziej podoba się to o „promowanie negatywnego obrazu Chin”, ale i „zaprzedanie się obcym siłom” robi niezłe wrażenie. W końcu to jego wina, że napisał, jak było, to wielki nietakt. Wersji polskiej *To Live* oczywiście brak. Kaczym głowom podczas seansu i podczas czytania mówimy stanowcze nie.



Yu Hua, *Chiny w dziesięciu słowach*

[12.05.2014]



Yu Hua jest jednym z najważniejszych współczesnych chińskich pisarzy. Pomyślałem, że chciał sobie łatwo wydać książkę, więc postanowił napisać takie dzieło-zbiór felietonów na zadane tematy. Szczęśliwie, okazało się, że się myliłem. Tak, jest to zbiór dziesięciu rozważań nt. kolejnych dobranych przez autora terminów.

Przyznam, że po przeoraniu nastu książek o Chinach w ciągu ostatniego roku, trochę mi ogień do zagadnienia opadł. Trafiają się książki lepsze, trafiają gorsze, niestety, wiele rzeczy jest dość powtarzalnych. Poczułem jednak jakąś potrzebę rzucenia okiem na coś o Państwie Środka i przypadkiem trafiłem na to, że po polsku ma zostać wydane dzieło Yu Hua *China in ten words*. Nie sądziłem, że to będzie przesadnie ciekawe, ale znalazłem sobie, wrzuciłem w Kindla i przeczytałem z niemałą przyjemnością.

Przez dziesięć tytułowych słów (w wersji angielskiej: *people, leader, reading, writing, revolution, disparity, grassroots, copycat, bamboozle and Lu Xun*) autor przybliży wydarzenia sprzed lat (najczęściej z własnego życia) i ze współczesnych Chin. Yu Hua stawia dość nowatorską i odważną tezę, iż obecny obłęd kapitalistyczny można wywodzić z czasów rewolucji kulturalnej. Sam miał przyjemność załapać się na jedno i drugie, więc prawo do takiej wizji ma, co więcej wszystko sensownie argumentuje. Rewolucja to czasy obłędu ideologicznego i nędzy materialnej, współczesność to względny dobrobyt konsumpcjonistyczny okupiony biedą intelektualną. Autor się nie oszczędza ani nie wybiela, wspomina, co wyczyniał w latach młodości, jakie fajne inicjatywy mieli z kolegami. Wątków autobiograficznych jest chyba dużo więcej niż tych dotyczących Chin współczesnych. Szczęśliwie nie przeszkadza to w czytaniu, napisane jest świetnie. O ile wiedzy historycznej mi to specjalnie nie poszerzyło, o tyle wiele z przytoczonych opowieści z życia zapamiętałem bez trudu, bo są tak cudownie porąbane, niezależnie czy pochodzą z czasów dawnych, czy też bardziej współczesnych. Cudowne są zderzenia propagandowych bajek o szaleńczym wzroście gospodarczym i tym, że biedaków nie wpuszczano w pobliże Ptasiego Gniazda w trakcie igrzysk olimpijskich. Miło też, że autor niemało

miejsca poświęca słynnej chińskiej jakości i rzetelności. Poprzednie książki Yu Hua ukazywały się w Chinach, ta nie miała tego szczęścia (no chyba że Tajwan to Chiny, to wtedy tak). Zapewne wspomnienie o Tiananmen nie zwiększyło szans na publikację tego dzieła. Niech autor się nauczy pisać o współczesnych Chinach, omijając ten nieistotny epizod, to może go i tutaj docenią.

Jest jakaś obsesja w patrzeniu na Chiny przez pryzmat „zrozumieć Chiny”. Wszyscy chcą je pojąć, więc co chwilę dowiadujemy się, że pojawiła się książka/film/obraz/litograf/wiersz/plecionka, które to sprawią, że zrozumiemy Chiny. Nie oszukujmy się: dzięki tej lekturze Państwa Środka nie zrozumiecie (bo nikt tego rozumem nie ogarnia), ale doznania należą do tych z najwyższej półki. Nie liczcie na to, że będziecie podjadać kacze głowy podczas czytania!



[12.05.2014]

Chwilę temu gruchnął news, że Chiny zabroniły pokazywania czterech amerykańskich seriali (*The Big Bang Theory*, *The Good Wife*, *NCIS*, i *The Practice*). Najbardziej musiały się z tego ucieszyć stacje, które mają wykupione prawa do pokazywania kolejnych sezonów ww. produkcji. Rozpętała się dyskusja: czym też zawiniły te dzieła? Ni golizny, ni Tajwanu. Do pieca dowalił scenarzysta *The Big Bang Theory*, który wydał oświadczenie, w którym (w skrócie) mówi, że go mogą lachnąć w puzon i żeby sobie poszli pobiegać, oraz że pewnie komisja, która zadecydowała o czerwonym świetle dla tej produkcji, nie ma za wiele poczucia humoru. Oczywiście, tu można było liczyć na patriotycznie wychowanych chińskich internautów, którzy z jego wypowiedzi uczynili główny problem całego zagadnienia. Jakim prawem scenarzysta z USA miałby mówić o chińskiej polityce medialnej?! Hańba, wtrąca się w wewnętrzne sprawy Chin! Co tam cenzura, głównym problemem Chin są amerykańskie seriale komediowe!

Sprawa rozchodzi się częściowo o to, że chińskie produkcje muszą przejść akceptację tutejszych urzędów (nawet nie podejmujemy się zgadywania jakich). W efekcie powstają dzieła, które mówiąc wielce kurtuazyjnie, są nieco schematyczne, wtórne i mało ekscytujące. Mówiąc mniej kurtuazyjnie: produkuje się szablonowe gówno, głównie o mordowaniu się z Japończykami i pięknej miłości. Najczęściej jest to chała tak fatalnej jakości, że nawet dla jaj się tego nie chce absorbować dłużej niż 10 minut. Już nawet liczni lokalni nie są tego w stanie oglądać (spokojnie, są jednak też liczni, którzy oglądają), podobnie jak i koreańskich seriali (tutaj to mniej więcej to, czym były wenezuelskie produkcje w latach 90. nad Wisłą). Żeby sprawa nie była całkiem przegrana, postanowiono nieco zmniejszyć udział produkcji zachodnich w rynku, bo obecnie pokazuje się to, co nakręcono w Chinach jakieś dobre dwa lata temu – powstaje tego na tony, a przerób jest stosunkowo mały.

Opcje były dwie:

- Należało zmusić lokalnych twórców (reżyserów, scenarzystów, aktorów, całe sztaby techników) do robienia filmów mogących konkurować z zachodnimi, dzieł interesujących, wciągających w stopniu takim, jak produkcje z obcych krajów.
- Oczyszczyć rodakom przedpole, żeby dalej mogli kręcić seriale we właściwej sobie jakości, z aktorstwem na poziomie okręgowego kółka teatralnego, naiwną fabułą i rozwiązaniami technicznymi na miarę *Wiedźmina*.

Nikogo, kto miał coś więcej do czynienia z Chinami, ten wybór nie zdziwił. Przypomina to czasy zablokowania *Avatara* – film wszedł do kin i wszyscy walili na niego drzwiami i oknami. Uznano, że tak być nie może, bo nikt nie chodził na produkcje „made in China”, więc go zdjęto i zakazano. Sprawy zapewne też nie ratował fakt, że kino jest strasznie drogie, więc jak ktoś pójdzie raz w miesiącu, to już drugi raczej nie.

Ciekawe, czy w następnym rozdaniu poleci ulubiony serial moich uczennic – *The Vampire Diaries*. Wtedy może dojść do rewolt ulicznych na skalę wcześniej niespotykaną.

[24.05.2014]

Są różne filmy na świecie: niektóre są dobre, niektóre są złe, inne zaś średnie. Są też filmy tak wybitnie złe, że aż stają się dobre. Te jednak do nich nie należą. Dominującym trendem w chińskiej telewizji są filmy i seriale wojenne. Czasom okupacji japońskiej poświęcono już chyba więcej miejsca na taśmie celuloidowej (a raczej na dyskach twardych) niż te osiem lat, które trwała. Poza tematyką filmy i seriale te łączy jedno: **są fatalne**. Po pierwsze, dbałość o realia jest żadna. Używanie AK-47 (zrobionego w 1947 roku) w latach 30. to standard. Strzelanie z karabinu snajperskiego, który nie miał prawa istnieć? Drobiazg, ale to że z odwróconą lunetą, źle go trzymając, mając otwarty zamek? Nie ma sprawy, w końcu kino to fabryka marzeń. Pola bitwy wyglądające jak rewie mody? Jest. Seksowne bojowniczkami z pięknymi fryzurami? Proszę bardzo! Najsłynniejszym kadrem i symbolem całego zjawiska (nazywanego „japońskie diabły rozrywane gołymi rękami na pół”) jest poniższy obrazek.



Ktoś nie dał rady i zrobił tę kompilację. Powstała na potrzeby jakiejś telewizji, słyhać panią, jak komentuje (tu rozpisane, co mniej więcej mówi). Najpierw 45 sekund reklam z YouKu, a potem można nacieszyć oczy tym, co rozpala wieczory i noce ekranu TV przeciętnego obywatela ChRL. Wygrywa królik, chociaż patriotyczny Batman też ma swój urok, a i samolot strącony granatem jest całkiem niczego sobie. Można powiedzieć, że łuk z Nielimitowanymi strzałami to niemal czeplenie się drobiazgów. Najfajniejsze w tych filmach jest to, że Japończycy to cymbały. Skoro to tacy idioci, to co dopiero powiedzieć o tych, których okupowali tyle lat? Ofiary musieli tu jednak ponosić straszne, w każdym filmie giną ich po prostu legiony.

Można powiedzieć, że „jak nie chcesz, to nie oglądaj!”. Problem polega na tym, że te produkcje obecne są w przestrzeni publicznej, w pociągach, autobusach, restauracjach i sklepach, więc często nawet nie mając na to ochoty, ujrzy się jakiegoś podłego Japończyka, którego pokonuje lokalny ruch oporu. Przy tym zamięłowaniu do lat 1937-45, dziwi brak zainteresowania również innym dość

interesującym okresem 1949-1976.

Program ten pochodzi sprzed ponad roku. Wydawało się wówczas, że nadchodzi zmierzch tych produkcyjniaków, że ośmieszane i wyśmiewane umrą śmiercią naturalną, bo nikt nie będzie chciał tego oglądać, mając do wyboru sensowne produkcje z innych krajów. Albo białą ścianę. Gdy w marcu 2013 do kin wszedł film o Lei Fengu, w Nankinie doszło do dość kompromitującej sytuacji: na wszystkie seanse sprzedano dokładnie okrągłe jak księżyc w pełni ZERO biletów, co nawet pracownicy kina przyjęli ze zdziwieniem, bo sytuacja taka nigdy wcześniej nie miała miejsca. W końcu młodzież uniwersytecka postanowiła się poświęcić i zorganizować wyjście na ten, bez wątpienia wspaniały, obraz. Mam nadzieję, że dali im szczerze jakieś nagrody, poświęcenie było to niemałe.

Przez pierwsze pół roku w Chinach odnosiłem wrażenie, że to wszystko zmierza do większej integracji ze światem, trochę drogą Korei Południowej. We wrześniu nawet miano otworzyć specjalną strefę handlową w Szanghaju – to standardowy przebieg reform w Chinach: najpierw Szanghaj, Pekin, Shenzhen lub Guangzhou, potem stopniowo reszta kraju. Z tego, co wiem, wyszło to średnio. Niestety ostatnimi czasy odnosi się wrażenie, że trend się odwrócił i Chiny znacznie bardziej interesuje droga Korei, ale Północnej. Chińczycy zaczęli nawet używać nazwy „Zachodnia Korea Północna”, więc im ją zablokowano w wyszukiwarkach.

Yu Hua, *Chronicle of a Blood Merchant*

[27.05.2014]

Żywiąc już do autora więcej niż pozytywne uczucia, wiele sobie obiecywałem po jego kolejnej książce. Nie zawiodłem się, jest mniej więcej na tym samym poziomie, co *To Live*, a chwilami nawet lepsza. Zaznaczam, że bardzo trudno nie porównywać tych dwóch dzieł, także w trakcie lektury analogie narzucają się same – ta sama epoka, niemal dokładnie ta sama problematyka.

Główny bohater mieszka sobie na wiosce w Zhejiang. Życie oczywiście nie jest usłane różami, więc co jakiś czas zdarza się, że dramatycznie potrzebuje pieniędzy. Wtedy jedynym rozwiązaniem jest sprzedaż własnej krwi do pobliskiego szpitala.

Autor powiela schemat ze swej poprzedniej książki: rzuca jednostkę z terenów rolniczych w wir wydarzeń drugiej połowy XX wieku w Chinach. Jest to więc wszystko dość smutne, jakby się to analizowało na polskim w liceum: bohaterowie sprowadzeni są raczej do funkcji biologicznych (ileż tam jest o jedzeniu!), zaś wiele ich działań determinuje prymitywna chęć przetrwania. Historia jest jednak bardziej złożona i wielowątkowa, więcej w niej dokładniej rozpisanych i bardziej złożonych bohaterów niż w *To Live*. Można powiedzieć, że jest trochę bardziej optymistyczna, ale gwarantuję, po lekturze biegać po ulicy z pieśnią na ustach nie będziecie. Bohater czasem odpuszcza sobie jedynie kwestie bytowe i pakuje się w sprawy o wymiarze nieco bardziej rozrywkowym i uczuciowym, więcej jest tu też o kobietach i ich smutnych losach.

Zarówno *To Live*, jak i *Kroniki* są w dziesiątce najważniejszych chińskich książek lat 90., czasu, gdy wydawało się, że może nastąpić rozkwit chińskiej literatury (nie nastąpił, a na pewno nie w kraju). *Kroniki* wydano w roku 1995 i spotkały się z ekstatycznym przyjęciem w Chinach. Po angielsku wyszły „już” w 2003 roku, po polsku nigdy. Co ciekawe, film w oparciu o to dzieło zrobili Koreańczycy (z Południa rzecz jasna), ma mieć on premierę we wrześniu.

Ai Weiwei – portret artysty jako młodego człowieka

[15.06.2014]

Polskie media nie rozpisują się nazbyt szeroko na temat chińskiej kultury. Jeżeli już ktoś zmusi jakiegoś smutnego redaktora do napisania czegoś o którymś egzotycznym twórcy, to często efektem będą teksty żywcem przepisane z anglojęzycznych opracowań tematu. Przyznam, że krew mnie zalewa, kiedy to widzę, bo nie mogę pojąć, iż ludzie, którzy dostają pieniądze za pisanie, nie odróżniają plagiatu od cytatu lub korzystania ze źródeł od ich dosłownego przepisania. Do tego czytanie tak stworzonych tekstów dość szybko przekonuje mnie o tym, że piszący nie mają zielonego pojęcia o Chinach. Mylenie nazw geograficznych, uogólnianie lokalizacji, traktowanie po macoszemu nazwisk (do tego bezsensowne spolszczanie transkrypcji) i wydarzeń jest na porządku dziennym. Nie zamierzam się kreować na wyrocznię w temacie – chociaż jestem w Chinach od roku, to czuję, że jest miliard rzeczy, o których nie wiem. Uważam tylko, że swoją pracę należy wykonywać rzetelnie, a nie z nastawieniem „e, i tak nikt tego nie sprawdzi”. Bywają chlubne wyjątki, te są jednak publikowane bądź na blogach, bądź w wyspecjalizowanych periodykach, które trafiają pewnie do garstki miłośników tematu.

Kilka dni temu w londyńskim muzeum Tate Modern odbyło się wydarzenie artystyczne poświęcone najbardziej znanemu poza Chinami artyście z tego kraju, dlatego postanowiłam napisać kilka słów na jego temat. Tekst ten będzie się ukazywał we fragmentach, ponieważ obawiam się, że będzie dość długi.

Gdybyście zechcieli zapytać przeciętnego zjadacza chleba, czy zna jakichś chińskich artystów, prawdopodobnie usłyszelibyście, że nie. Gdybyście zechcieli zadać to samo pytanie komuś po historii sztuki, to uzyskalibyście taką samą odpowiedź. No dobrze, nie przesadzajmy. Jest jeden człowiek, o którym niektórzy słyszeli. Głównie dlatego, że kochana ojczyzna tego pana postanowiła pokazać mu, gdzie jego miejsce w szeregu, fundując urokliwe dwa i pół miesiąca w areszcie, do tego kilka procesów o oszustwa podatkowe, nielegalne budowle czy szerzenie pornografii. W końcu czego innego można się spodziewać, kiedy dla tejże ojczyzny projektuje się słynny na cały świat stadion olimpijski? Kiedy specjalnie dla niej porzuca się wygodne życie w USA? Kiedy pomaga się mieszkańcom swego rodzinnego kraju w zidentyfikowaniu kilku tysięcy ofiar trzęsienia ziemi?

Portret artysty jako młodego człowieka

Ai Weiwei urodził się w roku 1957. Jak dobrze wiemy, młode komunistyczne Chiny oferowały swym obywatelom liczne atrakcje. Z tego powodu Weiwei mógł spędzić pierwszych 19 lat życia w obozach reedukacyjnych, bo jego tatusiowi **Ai Qingowi** zachciało się być światowej sławy poetą.



Młody Ai Qing

Źródło: Wikimedia.

Ai Qing nie był jakimś przeciętnym, prowincjonalnym wierszokletą, należał do czołówki chińskiej inteligencji. Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, studiował w Paryżu, znał się na europejskim malarstwie i filozofii. W 1941 wstąpił do jedynej słusznej w Chinach partii, niestety w 1957 zechciał obronić przed potępieniem lewicową pisarkę **Ding Ling**, która ośmieliła się zwrócić Partii uwagę, iż traktowanie przez nią kobiet jest poniżające. W efekcie i Ding Ling, i Ai Qing oskarżeni zostali o poglądy prawicowe. Poeta został potępiony i zesłany wraz z rodziną do obozów reedukacyjnych, najpierw do Beidahuang w prowincji Heilongjiang, w 1961 roku do Shihezi w Xinjiangu, zaś w 1970 roku na skraj pustyni Gobi. Światowej sławy intelektualista dostał pracę polegającą na czyszczeniu publicznych toalet, którą wykonywał przez 5 lat. Z powodu ciężkich warunków życia i okrutnego traktowania ze strony strażników stracił wzrok w jednym oku.

Weiwei z czasów tych wspomina trudy codziennego życia. Rodzina zmuszona była do zamieszkania w ziemiance. W kraju panował kryzys, wywołany przez genialne pomysły gospodarczo-ekonomiczne władzy, tak więc głównym frykasem dostępnym więźniom był słonecznik, który pojawi się też w późniejszej twórczości artysty. Czas mijał, Chiny powoli się zmieniały. Mao Zedong w końcu odszedł do krainy wiecznych łowów, stopniowo poczęto rehabilitować część więźniów politycznych. W 1976 zaszczyt ten spotkał Ai Qinga i jego rodzinę. Podobno przyczynił się do tego jakiś obcokrajowiec, który zapytał premiera Zhou Enlai, co też porabia słynny poeta.

Reedukacja rodziny Ai musiała się nie udać, bo już w 1978 roku młody Weiwei postanowił pójść na studia. Zachęcali go do tego znajomi jego ojca, którzy bardzo chwalili jego prace plastyczne. Wybrał Pekińską Akademię Filmową, na której chciał poświęcić się animacji, jednak po dwóch latach zrezygnował z tego kierunku, bowiem czuł się nim znudzony. W 1978 roku zainteresował się też poważniej sztukami plastycznymi, co zaowocowało stworzeniem awangardowej grupy **Xingxing** (czyli

Gwiazdy). Grupa rozšlała się rok później dzięki zaaranżowaniu wystawy w parku naprzeciwko budynku muzeum narodowego. Ponieważ zrobili to bez błogosławieństwa władz, ekspozycję szybko rozwiązała policja.

W czasach studenckich Weiwei czuł narastające rozczarowanie z powodu braku rozliczenia Chin z niedawnej przeszłości. Ostatecznie w 1981 roku doszedł do wniosku, że najlepszym krokiem dla jego życia i kariery artystycznej będzie opuszczenie ojczyzny i wyjazd do USA. Początkowo zamieszkiwał w Berkeley w Kalifornii, później przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie rozpoczął studia w Parsons School of Design, jednak i tych nie ukończył. Wciągnęło go środowisko artystyczne, zaprzyjaźnił się z poetą **Allenem Ginsbergiem**, w swoim mieszkaniu stworzył zaś swego rodzaju azyl dla młodych twórców pochodzących z Chin. Jednak sam nie odnosił sukcesów na polu sztuki, żadna galeria nie była zainteresowana wystawianiem jego prac. Przez 12 lat, które spędził w Nowym Jorku, wykonywał jedynie prace dorywcze. Większość jego przychodów pochodziła z hazardu – okazał się mistrzem gry w oko.



Artysta w Nowym Jorku

Źródło: <http://kunstundfilm.de/2012/03/ai-weiwei-in-new-york-fotografien-1983-1993/>.

W 1993 roku ojciec artysty zapadł na zdrowiu, tak więc Weiwei niechętnie podjął decyzję o powrocie do Chin. Przez ponad dziesięć lat pobytu w USA nie wysłał do domu nawet jednego listu. Czuł, że poniósł porażkę, bowiem nie dorobił się ani sławy, ani majątku, do tego wciąż nie miał wykształcenia.

Przy pisaniu korzystałam z następujących stron internetowych:

[http://www.artspeakchina.org/mediawiki/Ai Weiwei %E8%89%BE%E6%9C%AA%E6%9C%AA](http://www.artspeakchina.org/mediawiki/Ai_Weiwei_%E8%89%BE%E6%9C%AA%E6%9C%AA)

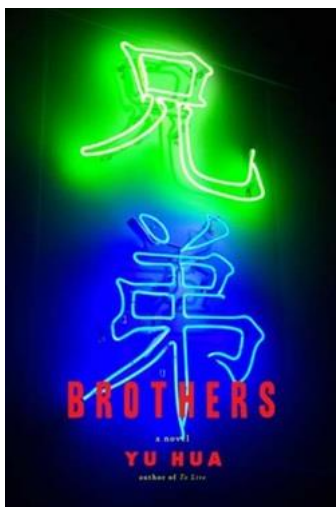
<http://beijingcream.com/2013/11/dfxj-the-legacy-of-ai-qings-chinese-central-asian-poetics/>

<http://kunstundfilm.de/2012/03/ai-weiwei-in-new-york-fotografien-1983-1993/>

<http://www.bbc.com/news/entertainment-arts-27834892>

Oraz z Wikipedii polskiej i angielskiej, hasła: Ai Qing, Ai Weiwei, Ding Ling.

[21.06.2014]



Autor jest moim odkryciem sezonu wiosennego 2014. Czytam kolejno wszystkie jego książki, przyszedł czas na ***Braci***, przez wielu uznawanych za opus magnum autora.

Punkt wyjścia: Łysy **Li** siedzi na złotym kiblu i wspomina swoje życie, jak to dotarł do miejsca gdzie jest teraz, jak stał się jednym z najbogatszych ludzi w Chinach. Jego wspomnienia sięgają jakieś trzydzieści lat wstecz. Niespodzianki nie ma, zgodnie z tytułem książka jest o braciach. Drugim bratem jest **Songang**, człowiek, który odniósł o wiele mniejszy sukces finansowy. Autor stworzył ich nieco na modłę Yin i Yang – Łysy Li jest „cielesny”, seksualny i finansowy. Songang jest „duchowy” i intelektualny.

Zaczynamy od zawsze milej i przyjemnej rewolucji kulturalnej. Tu można mieć pewne poczucie wtórności wobec wcześniejszych dzieł autora, aczkolwiek to chyba jego najlepszy (i najsmutniejszy) opis tego obłędu. Autorowi się nie spieszy, wydarzeń z dzieciństwa obu braci nie brakuje, podobnie jak i dość dokładnie wprowadzonych mieszkańców ich miściny. Na dzieciństwie bohaterów koncentruje się część pierwsza. W części drugiej mamy dość długi i zawiły wątek miłosny, a potem dzielimy troski i radości życia w Chinach od lat 80. aż po czasy telefonów komórkowych (dzieło wyszło w 2005 roku, praca nad nim zajęła jakieś dwa lata, internet się nie pojawia). Solidnie opisano realia i mechanizmy chińskiego kapitalizmu, będącego efektami reform Denga Xiaopinga i wyniesienie do rangi półbogów ludzi, którzy potrafili wykorzystać ten czas na wzbogacenie się. Książka jednak bardziej koncentruje się na aspekcie ludzkim niż materialnym, chociaż i o pieniądzach jest tu niemało. Jak to zwykle Yu Hua, na tło swej opowieści wybrał sobie wioskę-miasteczko, jakich w Chinach tysiące, prawdopodobnie znowu w Zhejiang (zgaduję, bo jest blisko do Szanghaju). Poza bohaterami tytułowymi nie brakuje też solidnie rozpisanych, wyrazistych postaci drugo- i trzecioplanowych. Dzięki nim autor przybliżył nam różne opcje i wybory (a także ich konsekwencje), przed którymi stali ludzie w tamtych czasach.

O ile chwilami trochę jedzie banałem i chyba nieco przesadnie kumuluje katastrofy nad bohaterami, o tyle jako całość się to broni. Niektóre śmieszne sytuacje wydają się być trochę przegieće – wątek zalotów Łysego to już chyba nawet na chińską wioskę przesada. Obstawiam jednak, że wiele z opisanych sytuacji autor widział na własne oczy i po prostu je wykorzystał, obdzielając nimi różnych mieszkańców miasta. Ogólnie, jest tu wszystko – od standardu chińskich kibli przez modernizację kraju i jedzenie po profil intelektualny przeciętnego chińskiego przedsiębiorcy. Po drodze pełno cwaniactwa, zabawnych sytuacji, które jednak składają się na wybitnie smutny obraz tego wszystkiego. Gdy czytam, że ulice poszerzono i wybrukowano, to mniej więcej widzę te wszystkie obłądy urbanistyczne, które tu się popełnia każdego dnia. To nie jest książka, którą sobie przerzucicie nad kiblem, to solidne kilkaset stron tekstu. Autorowi się nigdzie nie spieszy, niektóre wydarzenia opisane są niemal minuta po minucie. O ile idzie rąbnąć ze śmiechu nad poszczególnymi sytuacjami, o tyle gwarantuję, że po przeczytaniu *Braci* nie wybiegniecie na ulicę, krzycząc, że życie jest piękne. Końcówka jest świetna, może poza epilogiem, który sam w sobie jest dobry, ale już całkowicie nie pasuje do reszty opowieści. Poprzednie książki Yu Hua bardzo mi się podobały, ale dopiero tutaj udało mu się stworzyć bohaterów, których się kocha i nienawidzi, rozumie i wścieka na nich. Może nie jest to Dostojewski Fiodor, ale naprawdę górna półka. Stawiam to dzieło obok *Pekińskiej komy* i *Dzikich łabędzi*, czyli najlepszych chińskich książek. Absolutna czołówka książek o Chinach i bardzo wysoko w rankingu literatury światowej.

Flower Drum Song

[21.06.2014]



Dziś będzie o filmie nieco nietypowym, bowiem nie został on wyprodukowany w Chinach i nie tam rozgrywa się jego fabuła. Mowa o *Flower Drum Song*, opartym na powieści o tym samym tytule musicalu, który opowiada o życiu chińskich emigrantów w Ameryce.

Tytułowa pieśń śpiewana jest przez młodą i naiwną **Mei Li**, która wraz z ojcem ukryła się na statku towarowym płynącym do San Francisco. Bohaterka chce odszukać swojego narzeczonego, którego jeszcze nigdy nie poznała – zaręczyny zaaranżowano korespondencyjnie. Jednak zaledwie kilka chwil po zejściu ze statku na obcy ląd Mei Li odkrywa, jak odmienny od jej ojczyzny jest kraj, do którego przybyła: napotkani chińscy emigranci nie znają chińskiego, policjant nie pozwala śpiewać na ulicy, a odnaleziony w końcu narzeczoną nie wyraża woli poślubienia dziewczyny. Daje to początek perypetiom młodej Chinki i pretekst do ukazania barwnej społeczności wywodzącej się z Dalekiego Wschodu: pierwszego pokolenia emigrantów, którzy wciąż kultywują chińskie tradycje i nie ufają Ameryce, oraz pokolenia drugiego, czyli młodzieży, która nie rozumie sentymentów swoich rodziców, kocha nowoczesność i nie zamierza poddawać się starym konwenansom.

Jak już wspomniałam, film ten jest musicaliem, jedna pieśń goni drugą, nie pozostawiając czasu na odpoczynek. Tytułowa *Flower Drum Song* pojawia się aż trzy razy. Jak to w musicalach bywa, jedne piosenki są lepsze od drugih. Przynajmniej większość z nich przynosi jakąś wiedzę na temat bohaterów – ich losów, marzeń i skrywanych smutków. Szczęśliwie zrezygnowano z chińskiego śpiewu tradycyjnego (którego obecnie słuchają tylko chińscy emeryci, młodzież go nie znosi) na rzecz melodyki typowo broadwayowskiej.

Pewnym aspektem, który nie do końca podoba się współczesnym krytykom, jest to, iż role Chińczyków obsadzono mieszanką azjatycką. Główną bohaterkę gra Japonka, a sądząc po personaliach aktorów, to z dużą częścią obsady mogła sobie rozmawiać w języku przodków. Często białym zarzuca się, że to rasistowskie, że nie rozróżniają Azjatów, ale z drugiej strony, skoro w Hollywood John Malkovich mógł bez problemów zagrać Ruska, to może nie czepiajmy się o Japończyków w filmie o Chińczykach? Film trwa trochę ponad dwie godziny i jest to raczej mile spędzony czas. Dzieło nadaje się w sam raz na niedzielne popołudnie.

Ai Weiwei – sztuka po pekińsku

[28.06.2014]

Ai Weiwei wracał do Chin, nie mając większych złudzeń co do sytuacji w tym kraju. Po wydarzeniach z 4 czerwca 1989 roku intelektualiści nie roili nadziei, że Partia zmieni swój kierunek i pozwoli na wprowadzenie reform ustrojowych. Większość buntowniczej młodzieży z lat 80. pokornie przycięła swe skrzydła i poświęciła się karierze i rodzinie. W Pekinie Weiwei mógł jednak spotkać ludzi podobnych do siebie. Artyści wyrzuceni poza margines głównego nurtu sztuki, muzycy alternatywni, a także zbuntowani pisarze poczęli osiedlać się poza granicami miasta, tworząc komunę artystyczną, w której mogli swobodnie wymieniać refleksje i współpracować.



Beijing East Village, autor: Rong Rong

Jedną z takich społeczności była usytuowana na przedmieściach stolicy **East Village**, nazwana tak na cześć jednej z artystycznych dzielnic Nowego Jorku. Na lokalizację obrano rejon zamieszkiwany przez ubogich robotników. Ai Weiwei zajął się dokumentowaniem spektakli tworzonych przez młodych artystów. Ich swoboda artystyczna trwała krótko – od założenia East Village w 1993 roku minął zaledwie rok, kiedy okoliczni mieszkańcy poskarżyli się policji, że w komunie dzieją się rzeczy straszne. Przybyłe na miejsce służby porządkowe znalazły jednego z artystów, **Ma Liuming**, w trakcie performansu *Fen/Ma Liuming's Lunch I*. Nie była to specjalnie szokująca akcja artystyczna – mężczyzna gotował ziemniaki. Problem polegał na tym, iż był nagi. Został aresztowany i spędził blisko trzy miesiące w więzieniu. Wkrótce władze przegoniły artystów. Większość z nich relokowała się do istniejącej do dziś **Songzhuang Artist Village**.

Weiwei czuł, że rodzimym artystom brakuje nowych inspiracji i motywacji do działań kreatywnych. Podobne odczucia miał **Feng Boyi**, kurator i redaktor „Biuletynu Artystów”, wydawanego przez oficjalne Stowarzyszenie Artystów Chińskich. Postanowili wspólnie z **Zeng Xiaojun** i **Xu Bing**, twórcami żyjącymi w Nowym Jorku, opublikować przewodnik po sztuce Zachodu. Ponieważ wiedzieli, że władze nie będą tym pomysłem zachwycone – wszystkie publikacje musiały być poddane ostrej cenzurze – swoje dzieło musieli wydać samodzielnie. Drukarnię, która ośmieliła się złożyć nielegalną książkę, znaleźli dopiero w oddalonym ponad dwa tysiące kilometrów Shenzhen.

W ten sposób powstały trzy księgi pełne reprodukcji, biogramów, wywiadów i esejów. Żadna z nich nie została zatytułowana. Pierwsza z nich określana jest obecnie jako *Książka w czarnej oprawie*. Wydana została w 1994 roku i opowiadała o ikonach światowej sztuki współczesnej – Warholu, Duchampie, Koonsie i innych. Po powrocie z USA Ai co i rusz pytany był przez chińskich artystów o nowe prądy w sztuce Zachodu, całkowicie nieznane w Państwie Środka, jego książka stała się więc odpowiedzią na te pytania. Druga, *Książka w białej oprawie* i trzecia publikacja, *Książka w szarej oprawie*, wydane w latach 1995 i 1997, opowiadały już o współczesnej sztuce chińskiej. Każdy z tych tytułów wydrukowany był w trzech tysiącach kopii, które bez przeszkód znalazły swoich nabywców, mimo tego, iż ich istnienie trzymano w tajemnicy przed władzami.



Książka w białej oprawie, 1995

W międzyczasie Weiwei zajmował się tworzeniem własnych prac. Z 1994 roku pochodzi słynna fotografia, przedstawiająca jego narzeczoną, artystkę **Lu Qing**, na placu Tiananmen. Młoda kobieta stoi tyłem do portretu Mao Zedonga i unosi swą spódnicę, odsłaniając białą bieliznę. Zdjęcie wykonano w piątą rocznicę krwawego stłumienia studenckich protestów na placu.



Lu Qing na placu Tiananmen, 1994



Urna z dynastii Han z logo Coca-Coli, 1995

W tym samym roku powstało jedno z jego ikonicznych dzieł o tytule: *Urna z dynastii Han z logo Coca-Coli*. Ten niezwykle chytry tytuł maskował... urnę z dynastii Han z logo Coca-Coli. Rodzina Weiwei kolekcjonowała antyki, on zaś jeden z nich, mający blisko 2 tysiące lat, opatrzył nazwą słynnego napoju. Był to pierwszy w jego karierze akt dewastacji chińskiego dziedzictwa kulturowego.

Drugi nastąpił rok później i zachował się jego zapis fotograficzny – trzy zdjęcia opatrzone tytułem *Upuszczanie urny z dynastii Han*. Co zaskakujące, zdjęcia te ukazują... upuszczanie urny z dynastii Han. Na pierwszej fotografii artysta trzyma urnę w dłoniach, na drugiej stoi z rozłożonymi rękami, przedmiot zaś wisi w powietrzu, trzecie zdjęcie ukazuje urnę roztrzaskującą się o posadzkę.



Cykl Upuszczanie urny z dynastii Han, 1996

Dlaczego artysta uznał się na niewinne, tysiącletnie antyki? Możliwości interpretacji jest kilka:

- Chciał zdobyć popularność przez zszokowanie opinii publicznej.
- Jest zwykłym wandalem i nie szanuje chińskiej kultury.
- Chińska ceramika to jedno z pierwszych skojarzeń, jakie ludzie mają z chińską kulturą. Szlachetna porcelana, wazy czy nawet tandetne i masowo produkowane figurki Made in China to produkty znane na całym świecie. Waza mająca blisko dwa tysiące lat to świadectwo bogatej i wielowiekowej historii Chin. Dlatego zdewastowanie jej jest symbolem zniszczenia chińskiej kultury, tradycji i historii. W ten sposób Ai Weiwei mógł chcieć skomentować powojenne dzieje swojego kraju – od propagandowego niszczenia całego chińskiego dziedzictwa kulturowego, jako symbolu feudalnego wyzysku mas pracujących, po współczesne posunięcia władzy partyjnej, która ograniczała wolność i zachęcała ludzi do pędu po pieniądze przy powszechnym zapomnieniu o wartościach duchowych. Gdyby dwa tysiące lat temu w Chinach rządzący komuniści, waza z dynastii Han w ogóle by nie powstała. Jeżeli publiczność jest oburzona zniszczeniem jednej urny, to jak powinna zareagować na zniszczenie tysięcy dzieł sztuki podczas rewolucji kulturalnej? Tymczasem nikt nie reagował, bo wszyscy mieli to w dupie.
- Kolejna sprawa – dlaczego logo Coca-Coli? Otóż Coca-Cola była pierwszym zachodnim produktem, który importowano do Chin po nawiązaniu amerykańsko-chińskich stosunków dyplomatycznych w 1978 roku. Stała się symbolem całego świata zachodniego, zazwyczaj postrzeganego w Chinach jako banalny, pozbawiony duchowości i głębszych wartości, ale za to pełny bogactwa. Namalowanie logo Coca-Coli na starożytnej wazie może więc symbolizować zaprzęgnięcie chińskiej historii i tradycji na rzecz zachodniego pędu do osiągania zysków.

Cokolwiek nie sądzić o niszczeniu antyków, artyście udało się dzięki tym poczynaniom wzbudzić zainteresowanie wpływowych ludzi. Jego fanem stał się szwajcarski ambasador Uli Sigg, który zakupił urnę z logo słynnego napoju i pomógł Ai Weiwei nawiązać kontakty z ludźmi ze świata sztuki Zachodu.



Stół z dwiema nogami na ścianie, 1997

Antyki pojawiają się w twórczości artysty także w latach późniejszych. Między 1996 a 1997 tworzy serię eksponatów inspirowanych chińskim meblarstwem: *Stół z dwiema nogami na ścianie* (1997),

wykonany ze stołu z dynastii Qing (1644-1911); *Stół w kształcie krzyża* (1996), wykonany z mebla z podobnego czasu; *Podwójny stółek* (1997), wykonany z siedzisk z dynastii Ming i dynastii Qing. Ai Weiwei prawdopodobnie kupował antyki za niewielkie kwoty pieniędzy od ludzi, którzy nie znali rzeczywistej wartości tych przedmiotów (w czasie rewolucji kulturalnej posiadłości rodowe odbierane były ich właścicielom i przekazywane kierownictwu partyjnemu lub pozostawiane samopas) i w dobie pędu do nowoczesności woleli nowe, plastikowe meble od rozpadających się, drewnianych stołków. Bezcenne przedmioty pod koniec XX wieku okazały się bezużyteczne.

W tym samym czasie artysta prezentuje też wierne kopie flagowych osiągnięć na polu chińskiej porcelany. Jak sam mówi:

„As to my porcelain-based works, the central issue is the issue of authenticity. What is real and what is fake or a reproduction? My porcelain works are the highest quality blue-and-white porcelain. Here is something packed with historical and cultural meaning”.

Poza tworzeniem ekscentrycznych mebli i kopiowaniem porcelany, artysta wciąż zajmuje się fotografią. Od roku 1995 tworzy serię zatytułowaną *Studium perspektywy*, ukazującą... wyciągniętą rękę artysty wykonującą gest *fuck you* na tle znanych miejsc publicznych, symbolizujących potęgę danego kręgu kulturowego.





Studium perspektywy, 1995-2003

Ai Weiwei poza tworzeniem i destrukcją dzieł sztuki para się też działalnością kuratorską. W roku 1997 artysta pomaga w utworzeniu China Art Archives & Warehouse, instytucji kolekcjonującej fotografie Hansa van Dijka, który od lat 80. dokumentował chińską sztukę awangardową.

W 1998 roku Weiwei przeprowadza się do dzielnicy Caochangdi w północno-wschodnim Pekinie. Realizuje tam swój pierwszy projekt architektoniczny – budynek mieszczący pracownię artystyczną. Jego pojawienie się w osiedlu zamieszkanym w głównej mierze przez robotników, przybyłych z dalekich stron Chin i stawiających nielegalnie swoje domostwa, zapoczątkuje rozwój Caochangdi, które na przestrzeni lat zmieni się w dzielnicę artystyczną, zabudowaną oryginalną architekturą i mieszczącą pracownie awangardowych twórców.

U kresu lat 90. Ai Weiwei znany był głównie w jego rodzimym kraju. Krąg ludzi zainteresowanych jego osobą można nawet ograniczyć do chińskiego środowiska artystycznego, skupionego głównie w Pekinie i Szanghaju. Ostatni rok tej dekady przyniósł mu szansę na sławę poza granicami Chin. W 1999 roku odbyło się 48. Biennale w Wenecji, na którym wystawiono jego prace: czteroramienny *Stół ceremonialny* i instalację *Ostatnie zaćmienie tego wieku*, złożoną z fotografii przedstawiających zaćmienie księżyca z 1997 roku. Dzięki tej ekspozycji nazwisko artysty stało się rozpoznawalne wśród

europjskich i amerykańskich znawców sztuki.

Przy pisaniu korzystałam z następujących źródeł:

<http://www.opendemocracy.net/ai-weiwei-en-liang-khong/artist%E2%80%99s-duty-interview-with-ai-weiwei>

<http://www.culturalexchange-cn.nl/organisations/china-art-archives-warehousecaaw>

<http://www.artesmagazine.com/2013/04/chinese-contemporary-artist-ai-weiwei-others-in-retrospective-exhibition/>

http://www.newyorker.com/reporting/2010/05/24/100524fa_fact_osnos?currentPage=all

<http://artasiapacific.com/Magazine/53/TheFreedomOfIrreverenceAiWeiwei>

<http://arttattler.com/archiveaiweiwei.html>

<http://artasiapacific.com/Magazine/78/DevastatingHistory>

http://www.berkshirefinearts.com/03-11-2013_ai-weiwei-according-to-what.htm

http://www.moma.org/interactives/exhibitions/2012/printout/category_works/ai_weiwei/

<http://enthusiasms.org/post/4511308750>

http://chinadigitaltimes.net/space/Ai_Weiwei

http://contemporary_chinese_culture.academic.ru/17/Ai_Weiwei

http://contemporary_chinese_culture.academic.ru/248/Feng_Boyi

<http://www.chinese-art.com/Contemporary/volume2issue4/Post89/post89.htm>

Muzyka łagodzi obyczaje

[20.10.2014]

Zwykło się uważać, że zajmowanie się działalnością artystyczną jest rzeczą chwalebną, niezależnie od tego, jakie są końcowe rezultaty tych zainteresowań. Czasem jednak ma miejsce coś, co poddaje w wątpliwość tę prawdę.

Przykładem może być chiński oficjał, którego hobby jest gra na tradycyjnym chińskim instrumencie – *erhu*. Gdyby był zwykłym panem w średnim wieku, to grałby sobie na *erhu* w parku, zapewne miałby dużo miejsca dla siebie i tyle. Ponieważ jednak jest oficjałem, zagrał z profesjonalną orkiestrą. Rezultat jest powalający. Można powiedzieć, że Frank Drebin jako Enrico Pallazzo w *Nagiej broni* miał występ względnie udany.

Oto pasjonat *erhu* na Youku. Polecamy oglądnąć kilka razy, najpierw dla walorów dźwiękowych, a potem dokładnie obserwując miny grających z panem, jak również wyraz zadowolenia na twarzy Mistrza, który pokazuje, że facet jest bardziej głuchy niż nawet ja. Rodzą się pytania bez odpowiedzi: czy był to występ biletowany? Czy dostał kwiaty? Czy po średnio radosnym przyjęciu użytkowników pan zakończył karierę, czy też może jeszcze zagra jeszcze? La Scala czeka! Kiedyś koleś z Ministry grał koncert w koszulce z napisem „Fuck Art. Let's Kill”. Po wysłuchaniu tego wyczynu wydaje się to całkiem rozsądną propozycją.

[11.11.2014]

Ku pamięci mojego zmarłego kota i równie znanego Fiodora Dostojewskiego

Zaczął się wszystko od tego, że obok domu pana Wanga otwarto szkołę języka angielskiego dla młodych talentów. Było to wydarzenie bez precedensu w wiosce oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od Lanzhou. Innym precedensem byłoby znalezienie tam jakiegokolwiek talentu, czy to młodego, czy też starego. Pan Wang miał 78 lat, artretyzm, reumatyzm i żonę imieniem Ming, przy której Ksantypa stanowiła wcale atrakcyjną partię. Miał też kota, który był największą radością jego życia. Niektórzy w Lanzhou mówili, że Wang uratował kota z czasów Wielkiego Głodu, co poddawało w wątpliwość znane nauce wyniki długowieczności zwierząt tego gatunku.

Z racji zamieszkiwania w prowincji Gansu, pan Wang przez większość życia nie zaznał zbyt wiele ciepła, więc w miesiącach, gdy temperatury łaskawie pozwalały, przesiadywał na sterwie betonowych płyt w ogrodzie. Na kolanach trzymał zwiniętego w kłębek kota i drzemał. Kot też drzemał, ale jakby bardziej czujnie – zapewne miał w pamięci przypalenie wąsów, które go spotkało w okolicach 1992 roku. Kot stał się zdecydowanie bardziej aktywny, odkąd z pobliskiego budynku prywatnej szkoły rozpoczęły dobiegać wrzaski, które miały być recytacją słów w języku angielskim. Chociaż wiek i refleks już nie z tych, w których człowiek zapisywał się na zawody jeździeckie, nawet wiekowy pan Wang po jakimś czasie dostrzegł nadspodziewaną pobudliwość kota na dźwięki obce językowi mandaryńskiemu. Wrodzona pasja przyrodnika i biologa sprawiły, że pewnego dnia pan Wang zakomunikował swej małżonce, że ich kot opanował język angielski. Żona podeszła do tej wiadomości z podobnym entuzjazmem jak niegdyś do innych oświadczeń małżonka, takich jak decyzja, by jechać wspierać komunizm w Korei Północnej w 1952, organizować kwestę żywnościową w 1958, zakładanie kółka poezji rustykalnej w 1968, czy też wyprawy do Pekinu wiosną 1989 roku. Przypomniła mu znaną chińską mądrość i wiele przysłów o tym, że człowiek wiekowy nie powinien się wydurniać i zagroziła, że jeżeli Wang nie przestanie się błaźnić, to zabierze mu anglojęzycznego kota, tak jak zabierała emeryturę każdego pierwszego.

Można powiedzieć, że Wang przestał się wygłupiać wkrótce potem, taka jest natura każdego człowieka, że po śmierci staje się mało rozrywkowy i zdecydowanie mniej skłonny do wydurniania niż za życia. Jednak zanim to nastąpiło, Wang siedł w zaparte, że ich kot nauczył się angielskiego i że rozumie język imperialistów. O zaistniałym stanie rzeczy informował na bieżąco bliższych i dalszych sąsiadów. Sam Wang nie rozumiał po angielsku nawet Marlboro, bo palił Baishe.

Po śmierci męża Ming przeplakała wiele nocy. Nie wiedziała, jak będzie mogła żyć bez męża, bo jak przetrwać bez comiesięcznego wpływu paruset RMB do domowego budżetu? Koleje życia sprawiły, że ich dzieci obdarzyły matkę nienawiścią większą niż Imperialną Armię Japonii i dyla dały dobre parę dekad temu, Ming nie wiedziałaby nawet, gdzie i jak ich szukać, więc ewentualne wsparcie z ich strony, poruszonych tragedią, jaka spotkała rodzicielkę, wydawało się mało prawdopodobne.

Pobliska szkoła języka angielskiego zamknęła się równie nagle, jak niegdyś otworzyła, właścicieli zaś okazał się mieć właściwości znane kamforze. Wyraźnie zmartwieni tym faktem byli rodzice uczniów, którzy z góry wnieśli opłaty za cały semestr nauki. Ciągle zadawano sobie pytanie: gdzie teraz młode,

genialne mandaryńskie umysły zdobędą wykształcenie, które zagwarantuje im najlepsze prace w wieżowcach Szanghaju? A przy tym, rzecz jasna, środki na utrzymanie rodziców. Zaistniałą sytuację najbardziej zmartwiony wydawał się kot. Po pierwsze, nie miał Wanga i jego kolan do wylegiwania się. Po drugie, wyraźnie brakowało mu dzikiego jazgotu, który dobywał się z okien sąsiedniej budowli. Kot irytował Ming niemal tak bardzo jak ś.p. małżonek. Po pierwsze, ciągle miauczał. Po drugie, jeszcze ciągle nasłuchiwał znajomych odgłosów zza płotu, które nagle przestały docierać na ich podwórko.

Pewnego dnia zmaterializowali się krewni, coś w stylu kuzynów o stopniu pokrewieństwa numer 324. Po tym jak pozapewniali Ming o swej wielkiej miłości, a potem wydebili u niej nocleg, tej przyszedł do głowy szatański, w wersji wierzeń zachodniochińskich, plan. Mając pewien wrodzony zmysł biznesowy, najpierw zainwestowała 5 RMB w napoje wysokowe, które sprawiły, że goście przespali się z radością i przyjemnością na betonowej wylewce miejsca zwanego podłogą pokoju telewizyjnego. Podczas porannego śniadania, złożonego z okazałej ilości kaczych jaj i przepękli ogórkowatych, Ming rozpoczęła rzewne opowieści o Wangu i jego kocie. Widząc coś, co mogło być zainteresowaniem zmieszonym z kacem, poczęła opowiadać, że Wang wyszkolił swojego kota w języku angielskim. Oczywiście kot nie jest przesadnie biegły, bo czego w końcu można oczekiwać od kota? Ale świetnie zna wszystkie tony, jakie są w angielskim, a przecież wszyscy wiedzą, że tony są najważniejszą rzeczą w nauce każdego języka, a zwłaszcza angielskiego. Krewni nie wydawali się przesadnie przekonani, więc Ming musiała zmarnować kolejne 5 RMB na alkohol. W końcu jednak udało jej się przekonać, że dzięki przesiadywaniu na kolanach Wanga i nasłuchiwaniu pobliskiej szkoły, kot jest obecnie w stanie odtwarzać swym miaukiem wszystkie tony języka angielskiego. No cóż, szkoda, że ten kot się tak nikomu nie przyda, no bo kogo on tu ma uczyć? Dzieci większości populacji uciekły z wioski jeszcze na etapie plemników, dorośli już wielkich karier nie robią, więc ten bardzo cenny kot zmarnuje swój talent.

Najbliższa rodzina zasępiła się: w końcu mieli potomstwo. W końcu chcieli mieć za co żyć. W końcu znajomość języka angielskiego jest jedną z najważniejszych kompetencji, jakie współczesny Chińczyk może zdobyć. Próbowali już angielskiego prenatalnego, próbowali angielskiego z clownem, próbowali angielskiego z piosenkami i żadne z tych podejść nie przyniosło efektów innych niż drenaż ich konta. Cóż szkodzi spróbować z kotem? Kluczowe pytanie spotkało się z odpowiedzią brzmiącą 500 RMB. Ostatecznie, pośród licznych rozpaczliwych miauków i 350 RMB, kot przeprowadził się do stolicy prowincji Gansu. Po odliczeniu wydatków na kacze jaja i bai jiu, Ming mogła pochwalić się nieopodatkowanym zyskiem w wysokości 326 RMB.

Już pierwszego dnia swego pobytu kot rozpoczął intensywne zajęcia dla potomstwa swych nowych właścicieli. Za najlepszą oznakę postępu w nauce rodzice uznawali, iż dzieci za nic nie chciały siedzieć ze swym pedagogiem w jednym pokoju. Chińska mądrość od wieków głosi, że w końcu żadne dziecko nie lubi się uczyć, więc im bardziej nie chce, tym więcej i lepiej się uczy. Wykładowca, ilekroć był z nimi zamykany, zaczynał wydawać z siebie rozliczne miauki i parsknięcia. Mogło być to związane z tym, iż ojciec rodziny stymulował zwierzę za pomocą kija (nie marchewki) do wydawania tych typowych dla kota odgłosów. Dzieci miały za zadanie powtarzanie kocich miauków wielkiej inwestycji i nadziei rodu. Sama głowa rodziny mówiła, iż jego wymowa wiele zyskała dzięki zajęciom z wioskowym, gansijskim kotem.

Zajęcia trwały kilka miesięcy, gdy pewnego dnia odwiedził ich wujek z Guangdongu. Mówienie, iż wujek z Guangdongu był z Guangdongu wpisuje się w trend opowieści o tym, że ptasie mleczko robi się z wymiotów skowronków. Wujowi akurat zdarzyło się żyć w południowej prowincji, a urodzić nieco bardziej na północ, gdzieś w okolicach Hohhotu. Początkowo był przekonany, iż kot został kupiony na obiadokolację i cieszył się, że taki tłusty. Dopiero po wyjaśnieniach zrozumiał, dlaczego ten kot ma osobny pokój, jada lepiej niż rodzina i może sam wybierać kanały telewizyjne. Będąc światowcem najwyższej próby, wuj potwierdził lingwistyczne talenty kota, podkreślając, że kocia realizacja dźwięku *shua* też jest najwyższej próby. Od razu zaczął nastawać na to, żeby nie marnować tak dobrej puli genetycznej wielkiego językoznawcy i jak najszybciej go rozmnożyć. Oferował odkupienie naukowca za 1000 RMB, ale jego propozycja spotkała się z odmową. Rodzina Qiu zrozumiała, jak wspaniały interes zrobiła, inwestując 350 RMB w dawnego pupila pana Wanga.

W ciągu następnych paru miesięcy kot z Lanzhou głównie współżył i nauczał. Nierzadko łączono te dwie czynności, przyprowadzając dzieci, by posłuchały tego, jak kot intonuje w trakcie kopulacji. Jego właściciele wyszukali wszystkie kotki w promieniu dwudziestu kilometrów i zmusili swego podopiecznego do zapłodnienia ich. Gdy nastał czas porodów, skwapliwie odbierali potomstwo. O ile początkowo traktowano ich jak wariatów, po jakimś czasie stwierdzono, że coś musi być na rzeczy. Gdy wiadomość o alternatywnym podejściu do nauki angielskiego dotarła do właścicieli kocich matek, przestali tak ochoczo oddawać kolejne mioty. W końcu pewnego dnia najpierw wielki językoznawca udzielił ośmiu lekcji angielskich miauków, by potem dołączyć do swego pierwszego właściciela w zaświatach. Dokładniej sprawę ujmując: paść na zawał podczas spotkania z dorodnym persem płci żeńskiej. Jednak jego spuścizna żyła nadal. Łącznie urodziło się około 600 kociąt, wiele splodzonych na zamówienie. Dzięki wujkowi z Guangdongu i Hohhotu sława kota-anglisty obiegła całe miasto w kilka tygodni. Rodziny zgłaszały się, by za opłatą wypożyczyć zwierzę.

Po paru tygodniach zdecydowano się na otwarcie pierwszej szkoły z kotem jako wykładowcą. Wielu wyśmiewało ten pomysł, ale jeszcze więcej zapisywało swoje dzieci do tej placówki. Skoro nie zadziałał angielski z Amerykaninem, skoro nie zadziałał angielski metodą Helen Doron, to najwyżej nie zadziała angielski z kotem. Początkowo ceny były wielce konkurencyjne. Brak tradycji poszanowania praw zwierząt sprawiał, iż rodzice nie przejmowali się przesadnie tym, iż kot naucza jedynie, gdy jest pobudzany ciosem deszczulką w podogonie.

Fama językoznawcy rosła w siłę, jak również handel jego dziećmi. Kocięta z pierwszego miotu przejęły grupy po śmierci seniora. Ceny lekcji zwykowały, szkoła uruchamiała dodatkowe kursy, ale i tak nie mogła podoląć fali zainteresowanych. Otwarto cztery franczyzy, które wypełniły się uczniami, zanim na dobre się otworzyły. Metoda z Lanzhou spotkała się z aprobatą licznych tuzów chińskiego systemu nauczania. Po kilku miesiącach popyt tak bardzo przewyższał podaż, że ambitni rodzice płacili tzw. ciężkie pieniądze, żeby wykupić dzieciom miejsce na kursach słuchania miauków niewidomych kociąt. Metoda pana Wanga (nazwana tak na cześć jej wynalazcy) zakładała takie same ciosy deszczulką w krocze dziecka, jak i kota w razie niepowodzenia powtarzania dźwięków wydawanych przez zwierzę. Rynek rozrastał się w niewiarygodnym tempie, a nawet najstarsi tybetańscy górale nie wiedzieli o tym, co zdarzyło się swego czasu w Holandii, gdy z podobną popularnością spotkały się cebulki tulipanów. Okazało się, że około sześciuset potomków kota z Lanzhou nie jest w stanie sprostać zewowi wolnego rynku. Zaczęły pojawiać się podróbki – koty z drugiego i trzeciego miotu. Doszło do tego, że wynajem

kota z pierwszej gałęzi genealogicznej wielkiego językoznawcy kosztował ponad 300 RMB za godzinę. Zapotrzebowanie na chińskich nauczycieli zaczęło spadać, wzrastało za to zapotrzebowanie na koty. Pojawiły się szkoły twierdzące, że sprowadzają najprawdziwsze koty z Anglii, które to miauczą jeszcze lepiej niż potomstwo kota pana Wanga. Wielu rodziców postanowiło zabezpieczyć się z tzw. każdej strony i zapisywali dzieci do szkół kotów pana Wanga, jak również brytyjskiej szkoły kotów importowanych. Powszechnie wierzono, że jednak to gałąź nauczania kociąt z Gansu jest bardziej odpowiednia dla chińskich adeptów języka.

Jak zawsze w takich sytuacjach, Szanghaj postanowił iść swoją własną drogą i wprowadził szkoły, w których uczyły autentycznie brytyjskie kaczki-krzyżówki. Doprowadziło to do debaty telewizyjnej, w której udział wziął potomek pierwszej linii kotów z Lanzhou i kaczka z Bristolu. Zdania ekspertów były podzielone, ogłoszono remis ze wskazaniem na kota, bo mniej nabrudził. Zgodnie stwierdzono, że koty są lepszymi nauczycielami dla niewidomych, kaczki zaś dla głuchoniemych.

Po debacie telewizyjnej, kocie szkoły językowe zyskały dodatkowe grona fanów. Od Kashgaru po Ningbo, przez Dongguan i Manzhouli szkoły językowe zwalniały ludzi, a zatrudniały koty. Wyznacznikiem statusu społecznego, tak rodziców jak i dzieci, stało się to, czy dziecko jest aby na pewno uczone przez kota. Portale społecznościowe zapełniły się zdjęciami dzieci z ich nauczycielami. W prasie fachowej pojawiły się artykuły dotyczące tego, iż Chinom udało się wyprzedzić Japonię, dokąd jeszcze trendy kociej edukacji nie dotarły (i miały nigdy nie dotrzeć), jak również Koreę (nie precyzowano którą, ale zapewne Południową). Brakowało zgodności, co do stopnia zaawansowania tego trendu w Korei Północnej.

Tendencja zaczęła zniżkować, gdy młodzi Mandaryni po kilku latach edukacji u boku kota rozpoczęli wyjeżdżać studiować do tzw. krajów zachodnich. O ile liczono się z ryzykiem nawiązywania kontaktów z ludźmi bloku zachodniego, o tyle okazało się, że żaden z adeptów chińskiej szkoły kota nie był w stanie porozmawiać z brytyjskim kotem, o obywatelu nawet nie mówiąc. Raportowano setki, a nawet tysiące prób zakończonych fiaskiem. Szkoły w Chinach jasno informowały, że ta metoda nauki jest tak nowatorska, że Wielka Brytania, nie mówiąc nawet o USA, za nią nie nadążają, więc nie należy dziwić się, że komunikacja z mieszkańcami innych krajów nie jest możliwa. Wyjaśnienie to zapewniło dalsze kilkanaście miesięcy egzystencji kocich szkół językowych, jak również zainteresowanie wojska, gdyż generałom bardzo spodobał się pomysł, by takie właśnie efekty miało nauczanie języka obcego ich żołnierzy. Pewną porażką okazała się być szkoła mruczenia. Jak próbowano wyjaśniać adeptom, miauczenie nie stanowi całej komunikacji, mruki są równie ważne, ba, nierzadko ważniejsze, niż miauki. Trend ten jednak nie został opisany w programach telewizyjnych, więc można śmiało powiedzieć, że po prostu się nie przyjął.

Ostateczną zagładą kociego systemu nauczania okazało się być odkrycie, że kot pana Wanga nie uczył się amerykańskiego, ale zaledwie kanadyjskiego. Ktoś napisał w internecie, że ta szkoła koło domu pana Wanga uczyła kanadyjskiego. Wszyscy, zwłaszcza ci którzy nigdy nie mieli do czynienia z językiem wroga, okazali się świadomi, że kanadyjski, to bardzo oszukany angielski. Każdy też wiedział, że w świecie i wszechświecie istnieje jedna, wielka siła. Że tą siłą, na miarę grawitacji, jest amerykański akcent, który od biedy można zastąpić brytyjskim, ale w żadnym razie kanadyjskim. Gdy tylko to potwierdzono (co wymagało odnalezienia dawnego właściciela szkoły, który akurat był w trakcie siódmego roku urlopu w Tajlandii), momentalnie zdemaskowano koty z hodowli pana Wanga. Z dnia

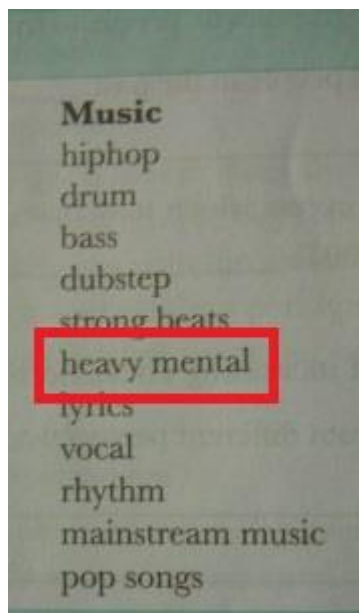
na dzień z idoli tłumów, stały się pośmiewiskiem i posiłkiem populacji. Szkoły próbowały reagować na tę tendencję, zgodnie obniżyły ceny swoich kursów, ale rodzice grupowo zabierali swoje dzieci, zatykając im przy tym uszy, by nie słuchały zbyt wielu miauków w niewłaściwym angielskim. Wczorajsi wykładowcy często kończyli na krawężnikach, a potem w kociolkach lokalnej biedoty. Z piedestału najlepszych nauczycieli akademickich, koty stoczyły się w otchłań zapomnienia. Nikt już nie chciał słuchać ich miauków, a mruczenie stało się zjawiskiem niespotykanym.

Przez kolejne lata wiele chińskich szkół próbowało eksperymentów z innymi zwierzętami, ale żaden z nich nie był przesadnie owocny. Próbowano angielskiego z sowami, rosyjskiego z lisami, niemieckiego z rybami i japońskiego z muchami, ale już nigdy żaden trend nie spotkał się z taką popularnością jak angielski z kotami.

Music makes the people come together

[9.12.2014]

Parokrotnie wspominaliśmy o jakości chińskich materiałów do nauki języka angielskiego. Przez chwilę wydawało nam się, że w tym roku los pobłogosławił nas dość solidnymi podręcznikami – tematy są naprawdę z egzaminu IELTS, wszystko wygląda wcale cywilizowanie. Niestety z czasem zaczęliśmy odkrywać pewne drobne potknięcia, a to literówki, a to rzeczy może poprawne, ale na pewno nie wyglądające naturalnie. Nadszedł w końcu dzień 9 grudnia, w którym to przygotowywałem lekcję dla moich uczniów z grup zaawansowanych. Temat: muzyka. Omów znane ci gatunki muzyczne. Wykorzystaj słowa ze strony 72. **Oczom ich ukazał się las. A raczej...**



Heavy mental to my będziemy po tym turnusie

Kraina smogiem i osłem płynąca

[29.12.2014]

Z okazji zakończenia roku 2014 i nadejścia roku 2015 prezentujemy opowiadanie o naszym obecnym miejscu zamieszkania. Mamy nadzieję, że zainspiruje ono czytelników do udania się na wycieczkę do wzruszającego Baoding.

„Oto tych dwoje jedzie do Kalifornii. Jadą tam, żeby zasiąść w hallu hotelu Beverly-Wilshire i przyglądać się z zawiścią przechodzącym ludziom, żeby patrzeć na góry – pomyśl tylko, na góry i na wysokie drzewa! – on wiecznie zatroskanym wzrokiem, a ona rozmyślając nad tym, że słońce wysuszy jej skórę. Jadą, żeby zobaczyć Pacyfik, i założyć się o sto tysięcy dolarów, że on zawoła: *Wcale nie jest taki wielki, jak myślałem!* A ona będzie obserwowała zazdrośnie pulchne młode ciała na plaży. W gruncie rzeczy jadą do Kalifornii po to, żeby móc wrócić do domu”.

John Steinbeck, *Grona gniewu*

– *Maaaaaaamo, jaaaaa nieeee chceee!*

Desperackie krzyki młodego Wang przeszywały powietrze, a raczej wspomnienie tegoż nad Baoding. Wang miał zaledwie sześć lat, ale krzyczał, jakby spędził kilka ostatnich dekad w piwnicach Lubianki i właśnie w tymże momencie postanowił przywołać wszystkie atrakcje, jakie sprezentowali mu radzieccy śledczy. Mimo pochodzenia z rejonów względnie bliskich Tybetowi, Wang nie był jakimś następcą Dalajlamy, którego zakatowali Sowietci. Płakał, bo chciało mu się sikać, tak trywialne bywa czasami życie. Co gorsza, czasoprzestrzeń nie sprzyjała Wangowi: zamiast móc się normalnie wysikać, musiał akurat pozować do zdjęcia z matką i ojcem. W swej trójcy stanowili idealną rodzinę, która spędzała wspólnie urlop.

Od czasów mniej więcej wiktoriańskich wiadome jest, że wybranie się na wycieczkę, czy też spędzanie urlopu stanowi wypadkową statusu społecznego, ambicji, zamożności, głupoty i rozmieszczenia krewnych po gościńcach świata. Ponieważ państwo Wangowie przyjaciół zbyt wielu nie mieli, więc ich planowanie wakacji szybko doprowadziło do smutnego wniosku, iż muszą zdać się na opcję „na bogato”, czyli skorzystać z jednego z biur podróży. W tym temacie los też nie okazał się przesadnie szczodry, więc ich wizyty w kolejnych punktach usługowych nie były spacerem tryumfu, a raczej czymś całkiem przeciwnym – chaotyczną bieganiną łączącą panikę i liczne rozczarowania porażek. Państwo Wang chcieli czegoś specjalnego, żadnych Tajlandii z niedobrym jedzeniem i ludźmi niemówiącymi po chińsku. Żadnego Paryża pełnego niskiej zabudowy, typowego nierozwiniętego miasta Zachodu. Gdy już udało im się spotkać z kilkunastoma agentami podróznymi i gdy podołali temu, żeby obrazić ich wszystkich (co łatwym zadaniem nie było, ale wyśmiewanie każdej zaproponowanej oferty pomogło), w końcu zostali rzućni w objęcia pana Liu, który szczycił się tym, że sprawy niemożliwe załatwiał od ręki, ale na cuda kazał czekać nawet do kilku dni. W odróżnieniu od wcześniej spotkanych agentów, pan Liu nie załamał rąk, tylko obiecał zaoferować im wycieczkę typowo chińską – po Chinach i po miejscach, w których państwo Wang jeszcze nie byli. Pan Liu dopytał się o wszystkie odwiedzone uprzednio przez rodzinę Wangów miejsca w ojczyźnie

i wydawał się wyraźnie bezradny, gdy ci podawali mu listę destynacji rozciągających się jak Chiny całe długie i szerokie. Doznał olśnienia. Następnego dnia zaklinował i oznajmił, że ma dla swych potencjalnych klientów wielce atrakcyjną wycieczkę. W trzy dni po pierwszym spotkaniu był w stanie zaoferować im wyprawę tematyczną dla całej rodziny. Może nie najtańszą na świecie, ale jak najbardziej odpowiednią dla nich i dla ich młodego cesarza. Wyprawa śladem rozwoju industrialnego Chin. Tygodniowa przejażdżka śladem różnorodnych gałęzi przemysłowych prowincji Hebei.

Pan Wang był zachwycony tą ofertą: jego dziecko zobaczy, jak cudownie rozwija się ojczyzna. Żona będzie miała zaszczyt zajmowania się dzieckiem. On zaś posiadał niezgorszą kolekcję namiarów na burdele w okolicy trasy ich wyprawy. Pani Wang była zachwycona: tyle miast, tyle sklepów, tyle butików, tyle miejsc, by skorzystać ze znajomości PIN-u do karty małżonka. Mały Wang wcale się nie cieszył na wyjazd mający być dla niego szalenie edukacyjnym i ciekawym. Wolałby siedzieć z dziadkami, którzy pozwalali mu spożywać jego ulubione dania z kaczek dzień po dniu i niespecjalnie przejmowali się tym, że przemienia się w pyzate monstrum. Bał się, że będzie znowu jak rok wcześniej, gdy to wybrali się na Hainan. Jego wspomnienia ograniczyły się głównie do serii zatruc pokarmowych i konsumpcji lodów. Gdyby młody Wang sięgał pamięcią nieco dalej, to wiedział, że właściwie każde jego wakacje tak wyglądały, czy to w Tybecie, Syczuanie, czy w Kłajczol. Ostatecznie dziadek musiał mu obiecać, że gdy tylko wróci, to otrzyma największą kaczkę z największego supermarketu. Solenne przyrzeczenie pomogło nieco na dziki atak hysterii, który dopadł młodego Mandaryna, jednak dopiero zapewnienia, że będzie mógł też kaczkę zabić, sprawiły, że dziecię z miną męczennika zgodziło się na wyprawę w nieznane.

Już na lotnisku w Guangzhou opiekę nad nimi przejął indywidualny przewodnik. Można powiedzieć, że lot do pierwszego punktu wycieczki minął spokojnie, bo czymże jest godzinna kłótnia grupy pasażerów o miejsce na zakupy w luku bagażowym? Mająca trwać sześć dni wyprawa rozpoczęła się w Shijiazhuang. Według folderu biura podróży od pana Liu tam właśnie uczestnicy wyprawy mieli spotkać się po raz pierwszy z legendarnym hebejskim smogiem. Stolica prowincji spodobała się panu Wangowi od pierwszego wejrzenia. Czuł, że dostaje to, za co zapłacił. Jeszcze na lotnisku rzucił się do robienia zdjęć swoim krewnym z pierwszej linii w oparach spalin spowijających postój taksówek. Z racji początkowego entuzjazmu wycieczkowego, zarówno szacowna małżonka, jak i ich dziecię, radośnie hopsali do zdjęć, wyrzucając przy tym ręce w powietrze. Dzięki temu Wang mógł uaktualnić swój profil społecznościowy i pokazać wszystkim kolegom z biura, kto tak naprawdę wygrał życie. Z powodu relacji panujących w miejscu pracy, fotografie z postoju taksówek zyskały 173 polubienia w godzinę od publikacji.

Po przejeździe do hotelu nastąpił spacer po mieście w towarzystwie przewodnika. Żywiłowo wyjaśnił on swoim klientom naturę rozlicznych gałęzi przemysłowych, które to znalazły swoje miejsce właśnie w Shijiazhuang. Myśli jego padły na grunt wielce podatny, cała rodzina była zafascynowana tym, jakież to niesamowity rozwój dotknął miasto niegdyś słynące z tytoniu i bawełny, teraz zaś będące liderem regionu. Po wizycie w fabryce tkanin młody Wang został posiadaczem domowego warsztatu tkackiego, zaś jego matka mogła za pomocą telefonu komórkowego na bieżąco informować swoich znajomych na QQ o tym, że właśnie wypoczywa, oglądając pracę trzech tysięcy szwaczek. Jak wiemy od dawna, nic tak bardzo nie pozwala odpocząć, jak obserwowanie tych, którzy ciężko pracują. Zdjęcia dostały 472 polubienia w ciągu dwóch godzin, co wprawiło panią Wang w wielce pozytywny nastrój.

Ojciec rodu również wydawał się kontent, bo nikt mu nie przeszkadzał w masowaniu utrudzonych pleców ludzi pracy. Wprawdzie czasem plecy myliły mu się z klatką piersiową, wprawdzie jakoś nie zabłąkał się w okolicy stanowisk pracujących mężczyzn, bo jakaś niewidzialna siła trzymała go przy robotnicach z Kłajczół, ale i tak wyprawę zapisał do więcej niż udanych.

Po powrocie do hotelu Wangowie oddali się czynnościom koniecznym: napili się wrzątku, połupali słonecznik, ugotowali kacze jaja, korzystając z czajnika. Wprawdzie trzy razy wybiło stopki, ale w końcu trochę dymu jeszcze nikogo nie zabiło, a dziecko musi mieć, co jeść, jak zdrowo skonstatował senior rodu. Razem z małżonką zgodnie uznali, że to właściciel hotelu stracił twarz, bo dał takie beznadziejne stopki, co palą się niczym choinka, ledwo na nich kacze jaja rozrobić.

Na następny dzień wyprawy zaplanowano wycieczkę plenerową. Państwo Wang musieli wstać o 4 rano, ale przewodnik mówił, że nie będą tego żałowali. Z powodu tak wczesnej (lub późnej, zależy, jaką ma się perspektywę) pory, musieli nieść swe dziecię na rękach do taksówki. Dopiero po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów dane im było zobaczyć w pełnej okazałości łunę unoszącą się nad kominami Xingtai. Wschód słońca, wielce nieśmiały okazał się być okazją do przypomnienia znajomym, kto ma urlop, a kto nie. Podli znajomi jednak w przeważającej większości spali, więc tym razem na polubienia i podnoszące na duchu komentarze trzeba było poczekać kilka godzin. Jednak miłe okoliczności przyrody sprawiły, że wyjątkowo przyjemnie siedziało się z przewodnikiem i gaworzyło o tym, jak atrakcyjną destynacją jest Xingtai i jak to dobrze, że państwu Wangom udało się tam dotrzeć, zanim zostanie rozdeptane przez turystów. Podobnie udane było śniadanie na trawie, złożone głównie z kaczych głów, ryżu i wielkiego słoika *la jiao*. Pewnym zgrzytem była nieobecność pana Wanga, który po ujrzeniu kelnerki w przydrożnym barze poddał się sferze wakacyjnej i masturbował się w pobliskich krzakach. Przywołany do porządku przez małżonkę ostatecznie zgodził się masturbować się z widokiem na nią, chociaż kosztowało go to wiele wysiłku i fantazji. No i 3 RMB na łoda dla juniora rodu, co w sumie było skromnym wydatkiem wobec tego, co zapłacił dzień wcześniej, też za łoda, ale dla samego siebie.

Lista wydatków pana Wanga rosła w zastraszającym tempie, trzy butelki Maotai (jedna dla przewodnika, druga dla siebie, trzecia dla kierowcy taksówki), niemniej był wielce kontent z czasu spędzanego z nowymi przyjaciółmi. Śniadanie spożyte także w płynie sprawiło, że pan Wang odespał trudy wstania o bardzo barbarzyńskiej porze. Gdy obudził się, mógł w całej okazałości zobaczyć, jak kopalnia węgla pracuje na pełnych obrotach i emituje dym, jakby właśnie nie udało im się wybrać papieża mimo wielu miesięcy dramatycznych obrad. Na tak wspaniałej zabawie i mile spędzanym czasie, urlop wydawał się zachowywać niczym woda lana przez sito. Ledwo państwo Wang się obejrzeni, osiągnęli półmetek. Jeszcze nie zdążyli wgrać wszystkich 862 zdjęć z odwiedzin fabryki w Handan na swe profile społecznościowe, a już docierali do Baoding, gwiazdy na firmamencie ich wyprawy.

– *Czujecie państwo? Tu powietrze pachnie całkiem inaczej niż w Xingtai. Można powiedzieć, że jest niemal tak dobre jak w Pekinie.*

Pan Wang i jego cała rodzina głęboko odetchnęli. Rzeczywiście, powietrze było inne niż w Xingtai. Nawet wydawało się mieć inną konsystencję. Wydawało się, że można go dotknąć i zacisnąć w dłoni. Przewodnik kontynuował swoją opowieść:

– *Dzisiaj państwo nie trafili zbyt szczęśliwie, PMI wynosi tylko około 500. Jednak prognozy są obiecujące, być może jutro uda się nam przekroczyć 600, ale niczego obiecać nie mogę. Niemniej, mam*

wiadomości od krewnego z pobliskiej fabryki nawozów, mają pracować na trzy zmiany, więc mamy bardzo duże szanse, że dobijemy przynajmniej do 600.

Rodzina Wangów zwiedziła centrum miasta. Bardzo spodobały im się przepisy ruchu ulicznego, a raczej brak tychże. Hopsali więc przez czteropasmowe jezdnie, śmiejąc się radośnie, ilekroć autobus mijał ich na milimetry, a nawet gdy czasem wywracała ich trójkołówka. Młody Wang otrzymał w prezencie dmuchaną sarenkę na kółkach i udało mu się nią pobawić prawie trzy godziny, zanim się całkiem rozleciała. Hotel, w którym zakwaterowało ich biuro turystyczne, oferował wybór pięciu różnych dań z mięsa osła, co pozwoliło ukochanemu potomkowi rozsmakować się w oślich uszach, podczas gdy małżonka wydawała się wielce zadowolona z oślego hamburgera. Pan Wang przesadnie nie rejestrował spożywanego posiłku, gdyż wyczekiwał, aż małżonka pójdzie przypudrować nos, co umożliwi mu odświeżenie znajomości z kolegą ze szkolnej ławy. Nawet w czasach, gdy mieli po szesnaście lat, Jia był koneserem lokalnych przybytków. Wang wiedział, że po tylu latach pobytu w Hebei, Jia gwarantuje dostęp do najlepszych miejsc rozrywki. Problemem było skontaktowanie się z nim i pozbycie małżonki na kilka godzin. Akurat oferta zakupowa nie dawała wielkich nadziei na to, że pani Wang rzuci się w wir wielkich centrów handlowych i zapomni o bożym świecie, w tym o mężu. Szczęśliwie, nie ma posiłku bez oleju, więc pierwotnie wcale rozsądnie oleiste danie pani Wang zyskało około 4000 kalorii podczas jej pobytu w toalecie. Kochający małżonek zamówił jej także wielką butelkę jogurtu, powołując się na ludową mądrość, iż ten jest świetny na trawienie. Geniuszem być nie trzeba, żeby wiedzieć, co nastąpiło w kilkanaście minut po skończeniu posiłku. Detale nie są bardzo istotne, najważniejsze jest to, że pan Wang mógł zostawić swoje dziecię z żoną i iść na spacer. Przypadkiem podczas tego spaceru spotkał Jia, a Jia przypadkiem szedł do burdelu...

Szczyście dopisywało rodzinie Wangów. Następnego dnia o poranku poziom zanieczyszczenia powietrza osiągnął ponad 700 jednostek. Z tej okazji wszyscy wstali o 6 rano, chociaż pan Wang nawet nie zdążył się położyć spać i witał nowy dzień z butelką ergotou w ręce, z którą to zakończył swój poprzedni etap zmagania z rzeczywistością. To jednak on wydawał się szczególnie pobudzony, gdy pokazano mu na telefonie, że tak, że udało im się! Że wdychają autentyczne hebejskie powietrze! Łzy szczęścia pociekły mu z oczu. Udało mu się zabrać ukochaną i potomka w miejsce, gdzie mogli doświadczyć najprawdziwszych Chin. Gdzie dane im było widzieć, słyszeć i dosłownie oddychać nowoczesnością, rozwojem i produktem krajowym brutto. Stojąc pośrodku kilkunastomilionowego miasta, pośród samochodów, autobusów i trójkołówek, odkrył nieznane. Odkrył najlepszą destynację turystyczną w swojej ukochanej ojczyźnie. Chociaż wiadomości z czasów Kopernika i Galileusza nie dotarły jeszcze do pana Wanga, to wiedział, że jest w najwspanialszym miejscu na całym globie i że nigdzie indziej nie będzie podobало mu się tak bardzo. Refleksyjnie dopił ergotou, objął żonę, wiedząc, że atmosfera uniemożliwi jej wyczucie zapachu szesnastoletniej Ming z Wewnętrznej Mongolii, przytulił syna i zrobił najwspanialsze zdjęcie świata. Modelowa chińska rodzina na tle fabryki turbin wiatrowych. To właśnie w trakcie wykonywania tego wiekopomnego portretu rodzinnego, który miał ozdobić ściany mieszkań krewnych i znajomych, młody Wang się posikał. Rodzinie Wangów tak bardzo spodobało się w Baoding, że poprosili o zmianę trasy wycieczki, by mogli nacieszyć się jakże korzystną aurą tej metropolii. Zrezygnowali więc z odwiedzin w kopalniach Zhangjiakou. Zawsze trzeba sobie zostawiać miejsca, do których chce się wracać – powiedzieli sobie. Po zaledwie kilku dniach pobytu wiedzieli, że ich serca zostały w Hebei.

Dzięcielina tak pała!

[31.03.2015]

Z racji obłędnej oferty kulturalnej (czyli najpierw należałoby popaść w obłęd, żeby obecność takowej stwierdzić) w naszym *laogaiu*, postanowiliśmy wybrać się do Pekinu. Już po przybyciu na miejsce i zrobieniu paru rzeczy, które zrobić należało, odkryliśmy, ku naszemu niemałemu zdziwieniu, że w Muzeum Narodowym jest wystawa poświęcona krajowi Chopina. Jeżeli obywatel Chińskiej Republiki Ludowej kojarzy cokolwiek związanego z Polską, to będzie to Chopin (na drugim miejscu Curie-Skłodowska, baaaaardzo rzadko Auschwitz). Niedziwne, że wystawę zatytułowano właśnie *Skarby z kraju Chopina – wystawa sztuki polskiej od XV do XX wieku*. Rozpoczęła się ona 7 lutego i potrwa do 10 maja (zapewne taki prezent na me urodziny, że zwiną, ewentualnie na wybory).



To niestety nie jest prima aprilis



Na to idą wasze podatki

Na drugim piętrze Muzeum Narodowego przy placu Tiananmen wspólnymi siłami obu krajów zgromadzono kolekcję kilkuset obiektów z ojczyzny Polan. Bilet na wystawę o kraju ojców kosztuje 20 RMB.



Baniak erguotou wychodzi taniej!



Talon na balon

Co otrzymujemy w zamian? Solidną kolekcję prac plastycznych ludzi takich jak Matejko, Chełmoński, Malczewski i paru rezerwowych. Zaznaczyć należy, że np. *Bitwa pod Grunwaldem* nie jest oryginalna, no ale jest, a zapewne tu nikomu to nie będzie przeszkadzać. Jest *Batory pod Pskowem*, chyba prawdziwy. Nasz australijski kolega był pod wrażeniem rozmiaru płótna, powiedziałem mu, że to standard w wypadku tego twórcy. Do tego trochę z czasów Młodej Polski (np. reprodukcja witrażu *Boga Ojca* Wyspiańskiego z krakowskiego kościoła franciszkanów), trochę rzeźby średniowiecznej i późniejszej.



Tańce, hulanki, swawole, czyli to, czego brakuje najbardziej

Jest też niemało okazji z polskiej szkoły plakatu filmowego z niezłą reprezentacją filmów chińskich, co zapewne interesuje i dziwi ludność lokalną. Tyle lat temu, a tu kwitła taka współpraca, że nawet graliśmy w kinach *Ostatnią bitwę* i *Obóz nieugiętych* – filmy, których istnienia nie jest świadom nawet Filmweb i IMDB. Prawdopodobnie nawet występujący w nich aktorzy zapomnieli, że kiedyś coś takiego robili w życiu. Myślę, że jeżeli ich najlepsi przyjaciele pamiętają te produkcje, to im o nich nie przypominają. Nigdy.



Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie



„Nie, to nie ja. To tylko ktoś podobny”.

Są wizualki np. zmiany terytorium Polski, co dla wielu osób będzie tu pewnym odkryciem, bo nie do końca wiedzą, gdzie też ten byt polityczny się znajduje, a nawet czasami znajdował. Od strony technicznej wszystko jest na dość dobrym poziomie, ładnie wywieszone, oświetlone (no jedna lampka nie działała) odpowiednio, opisane w dwóch językach.



Nie, synku. W Mazowszu nie można grać na erhu

Z uwag technicznych: muzeum jest czynne do 17, ale wpuszczają do 15:30, wywalają o 16:30. Nastąpiła wiosna, akurat w sobotę 29 marca było ładnie, dzień jest długi, zainteresowanych (oczywiście więcej całym muzeum niż wystawą o Polsce) nie brakuje. Może dałoby się potrzymać to otwarte chwilę dłużej w weekendy? Ku naszemu zaskoczeniu, nie było pusto, wcale niemało ludzi przyszło i podziwiała dokonania naszych rodaków. Dla nas było to dziko surrealistyczne doznanie, by w centrum Pekinu zobaczyć obrazy i reprodukcje, które znamy „od zawsze” i móc je przybliżyć Australijczykowi.



„Ubrałabyś czasem coś w tym stylu, a nie tylko Gucci, Gabbana i Versace”



Młody kult plakatu

Wenguang Huang, *The Little Red Guard: A Family Memoir*

[2.04.2015]

Po paru miesiącach spokoju od książek poświęconych Chinom, wziąłem się za wyżej wymienioną pozycję. Wiele sobie nie obiecywałem, myślałem, że będą to kolejne memuary z wiadomych czasów, coś w stylu tego, co Yu Hua pisał w swoich *Chinach w dziesięciu słowach*, tylko gorsze. Pocieszałem się, że nawet jeżeli dzieło okaże się umiarkowanie porywające, to bardzo długie nie jest. Czekало mnie zdziwienie. Tytuł jest solidnie zwodniczy, o ile książka dzieje się w czasach rewolucji kulturalnej (już jej zmierzchu), a bohater rzeczywiście należy do tytułowej Gwardii, o tyle działalność tej radosnej formacji nie odgrywa większej roli w przybliżanych nam wydarzeniach. Najważniejsza jest tu babcia, która postanawia, a raczej upiera się, by pochować ją zgodnie z tradycyjnymi rytuałami, przy boku męża, w Henanie. Ponieważ mieszkają w Xi'an, a polityka narodowa zabrania kultywowania dawnych rytuałów i nakazuje kremację zmarłych, problem jest niemały. Zwłaszcza że ojciec jest oddanym sprawie komunistą i nie do końca pasuje mu kołowanie trumny dla ukochanej matki. Słowa „ukochana matka” jednak okazały się kluczowe dla rozwoju wydarzeń.

Wspomnienia bohatera obejmują wiele lat, od czasów dzieciństwa aż do późnej dorosłości. Oczywiście w tym okresie obserwujemy całą historię Chin, tym razem z perspektywy stolicy Shaanxi (więc jest nawet nieco o ludności muzułmańskiej). W szkole bohater uczy się o Wielkim Sterniku, w domu o prądach tradycji. Pogodzenie jednego z drugim wydaje się racjonalnie niemożliwe, ale jednak jakoś mu to współdziała, tak więc jednego dnia pali pieniądze dla umarłych, a drugiego szlocha rzewnie po śmierci Wodza. Można powiedzieć, że do dzisiaj działa to tak na płaszczyźnie całego kraju, bo chociaż zadeklarowanych ateistów nie brak, to fajerwerki i pieniądze dla duchów być muszą.

Czyta się to świetnie, można łyknąć całe w jedno posiedzenie. Jest trochę śmiesznie, trochę strasznie, chwilami smutno. Bardzo dużo w tym tła w stylu „rola i pozycja kobiety na przełomie lat 70. i 80. w ChRL”, zmiana trendów edukacyjnych, otwieranie kraju na świat, a nawet gości z zagranicy. W wypadku bohatera, to otwarcie to skończyło się tym, że opuścił ojczyznę i działa za granicami. Coś mi mówi, że ta książka nie jest tu na liście lektur obowiązkowych.

Zero kaczych głów, jedna z najlepszych książek o ChRL, jakie mi się przydarzyły. Napisana w taki sposób, że trafi do laika, jak i do znawcy tematu.

Zapamiętane po wsze czasy. „Laoshi” znaczy nauczyciel. Taaa...

„Laoshi loosely translates as “genuine and honest.” Mother had often called Father laoshi, but as is typical of so much in Chinese, words have many meanings; when she said laoshi, it meant weak and incompetent”.



Libros del Asteroide *

Wenguang Huang
El pequeño guardia rojo



Okladka z wersji hiszpańskiej, bo ładniejsza niż z angielskiej

Far East of Eden

[4.05.2015]

*„But the Hebrew word, the word *timshel*—‘Thou mayest’— that gives a choice. It might be the most important word in the world. That says the way is open. That throws it right back on a man. For if ‘Thou mayest’—it is also true that ‘Thou mayest not.’”*

W wersji chińskiej najważniejszym słowem jest *meiyou*, czyli:

- Nie ma;
- Nie da się;
- Nie działa;
- Nie wiem.

Meiyou najczęściej są bilety kolejowe. Innym *meiyou* jest naprawa głośników w sali wykładowej. Informacje na temat świąt narodowych cechuje duży poziom *meiyou*.

Zakładanie konta w banku – *meiyou*. Autobusy pomiędzy 19 a 7 rano często zatrzymują się na przystanku *meiyou*. Czasem jedzenie bez mięsa bywa *meiyou*. Menu w restauracji może głosić, że podają np. makaron z sosem pomidorowym. Tymczasem jest to zamaskowane danie *meiyou*. Dotyczy też karty drinków. Aż dziwi, że nigdy w dziejach Chin nie było dynastii *meiyou*.

A Death in the Lucky Holiday Hotel

[17.05.2015]

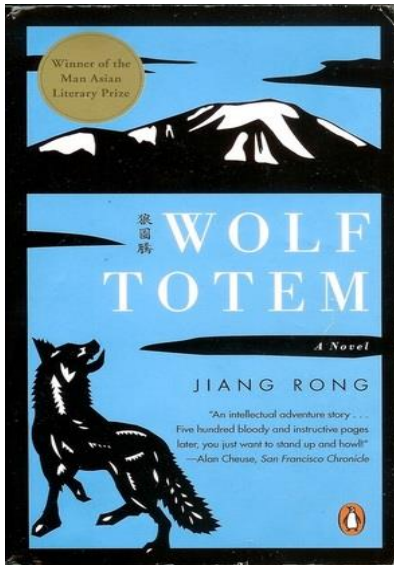
Wiele jest sekretów na tym świecie, a jednym z największych z nich jest chińska polityka. O tym też jest książka *A Death in the Lucky Holiday Hotel: Murder, Money, and an Epic Power Struggle in China*. Obstawiam, że co jest po dwukropku, to вина wydawcy. Najbardziej wciągające dzieło o współczesnych Chinach, na jakie ostatnio trafiłem. Objętościowo nieco ma, ale czytało mi się cudownie. Z cyklu „książka, którą zgłębiasz, gdy masz wolne trzy minuty w oczekiwaniu na autobus”. Punktem wyjścia jest znalezienie zwłok obcokrajowca, Neila Haywooda, w luksusowym hotelu na obrzeżach Chongqing. Jego śmierć przyczyniła się/sprawiała/stała się okazją (do wyboru) do przetasowań na najwyższych szczeblach władzy ChRL. Co wymiata:

- Tło spraw, nieobecne w chińskich mediach (skorumpowany komisarz policji i pozbawiony skrupułów burmistrz tego cyrku, którzy współpracują przez lata).
- Zamiast pięknej femme fatale, po prostu Chinka (wiemy, z jakim bobrem), która cwaniaczy na całego i kończy z konkretnym wyrokiem. Super jest to, że wcześniej pisze książkę o upośledzonej Ameryce, która cacka się z oczywistymi bandytami, zamiast ich od razu słać na krzesło elektryczne lub dożywocie. Szczęśliwie, doczekała się sprawiedliwego wyroku od ojczyzny w ciągu zaledwie kilku godzin. Aha, jeszcze lepsze jest to, że to żona Bo Xilaila, człowieka, który swego czasu wcale poważnie był typowany do najwyższych szczebli władzy ChRL. Sam Bo Xilai trochę potem również otrzymał skierowanie na medytację w odosobnieniu.
- Opis tego całego, wielkiego burdelu zwanego tutaj strukturą władzy. Właściwie gdziekolwiek nie zbliża się do opisu struktur – sądowniczej, ustawodawczej, aparatu policji, organizacji państwa – to jasno pokazuje, że, cytując wnuka klasyka, państwo działa tylko teoretycznie. Bo praktycznie, to żeby maksymalizować zyski i wpływy wąskiej grupy wybrańców.
- Oczywiście jest to, że jeden z bohaterów nazywa się Wang. Nie ma w Chinach żadnego newsa bez osoby o tym nazwisku.

Gdybym miał wymieniać wady, to jedyna jest taka, że dzieło się nieco zdezaktualizowało. Wiele z myśli i teorii autora rodem z 2012 okazało się być strzałem w ciemność, który to strzał nigdy nikogo i w nic nie trafił. Są też takie, które weszły w tarczę nieco lepiej, inne są dyskusyjne. Drugą stroną medalu jest to, że przecież ten chłop nie wykupił abonamentu w Delfach, więc po prostu zgadywał i opierał się nierzadko na domysłach. Książka wymagałaby pewnego przerezegowania na realia AD 2015, ale nawet przy tych mankamentach czytało mi się to „iście zajebiście”. Napisane jest z takim ogniem, lekkością i znawstwem, że idzie się pomodlić o więcej takich książek. Zapewne też jeżeli ktoś żyje tutejszą polityką, to wówczas pewnie wie o wiele więcej o sprawie niż ja i wiele rzeczy, które dla mnie były odkryciami, będzie dla niego oczywistych. Na dzieło trafiłem z okazji współautorstwa człowieka, który napisał wspomniane niegdyś *The Little Red Guard: A Family Memoir*, czyli Wenguanga Huanga.



[20.06.2015]



*Okladka mego wydania wiadomego dzieła.
Wilk, pingwin i obowiązkowy cytat z recenzji*

Pewnego dnia znalazłem w jednej z pekińskich księgarni książkę, którą wcześniej poleciło mi kilka osób o różnych paszportach. *Wolf Totem* autorstwa Jianga Ronga, czyli Lu Jiamina, który napisał to dzieło pod pseudonimem. 68 RMB zmieniło właściciela, a ja mogłem oddać się lekturze dzieła o jednym z obecnie najbardziej interesujących mnie miejsc w Chinach.

Fabularnie książka skupia się na dziejach Chen Zhena (de facto autora, no ale w imię tradycji analiz literackich nie utożsamiamy go z narratorem), który to w ramach rewolucji kulturalnej został wysłany do Mongolii Wewnętrznej. Tam miał zbliżyć się z ludźmi pracy i lepiej zrozumieć ich potrzeby. Wyszło fantastycznie, ale chyba nie do końca po myśli inicjatorów akcji. Chen Zhen zakochał się zarówno w ludności, jak i w przyrodzie tego regionu. Szczególnie zaś w wilkach. Ponad dwadzieścia lat później napisał o tym książkę, nazywaną przez niektórych najbardziej antychińską w historii. Jak to możliwe? Większość dziejów naszego bohatera i jego kolegi wiąże się z opisywaniem tego, jak bardzo na ich oczach zniszczono szeroko rozumiane życie tego kawałka Chin – tak przyrodę, jak i kulturę. Jak bardzo ludzie z Partii nie są w stanie zrozumieć realiów panujących na stepach i jak szkodliwa jest ich działalność, nazywana postępem. Tytułowe wilki stanowią jeden z głównych przykładów. W książce nie brakuje porównań ludności Han z Mongołami, właściwie wszystkie wypadają na niekorzyść grupy dominującej. Mało? Wielokrotnie podkreślone jest to, że ludzie mieszkający na stepach od wieków rozumieli, że nie można ich wykorzystywać do rolnictwa na wielką skalę, bo jest to wielce delikatny ekosystem, który uprawiany bez umiaru zamieni się w pustynię. Kolonizatorzy nie podzielali tego punktu widzenia. W jakieś 40 lat po wydarzeniach opisanych w *Wolf Totem* widać bardzo dobrze, kto miał rację. Są porywające kawałki, są też takie, które nieco się ciągną. Naturę ekosystemu stepów autor wkłada czytelnikowi do głowy więcej razy niż powinien – dobrze,

zrozumiałem! Sto stron dalej, znowu: świstaki są ważne, bo inne zwierzęta jedzą świstaki, a wilki są ważne, bo kontrolują populację antylop, które inaczej zniszczyłyby stepy, a antylopy są ważne... Naprawdę, trochę edycji mogłoby pomóc, niemniej dzięki temu jeszcze lepiej widać, że w dzieło włożono ogromną ilość serca, chociaż jeszcze więcej rezygnacji i smutku związanych z obserwowaniem świata, który jest bezmyślnie niszczone. Dla autora/głównego bohatera przerażające jest to, że czynią to przedstawiciele jego grupy etnicznej, którzy nawet nie próbują zrozumieć niczego z realiów, w których się znaleźli. Końcówka jest dość dobra. Nie jest to dzieło, po którym wybiega się na ulice i krzyczy, że świat jest piękny.

Ogólne wrażenia z lektury są na dobry, może dobry plus. Jedna kaczka głowa za przesadną ilość powtórzeń tych samych myśli. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że jest to jeden z wielkich chińskich bestsellerów wszech czasów. Chyba zatwierdzający do druku nie zauważył, co to jest lub uznał, że raz się żyje i że jedziemy z koksem. Książka sprzedała się w milionach egzemplarzy – taki urok tutejszego rynku wydawniczego, że wszystko popularne zaczyna być natychmiast piratowane, więc często trudno to oszacować.

W związku z popularnością dzieła, postanowiono je zekranizować. To już jest całkiem inna opowieść. Zaczniemy ją od tego, że jako reżysera zaangażowano Jeana Jacquesa-Annauda – człowieka, który ma doświadczenie w robieniu filmów o zwierzętach (np. *Niedźwiadek* z 1988 roku). Ma on jednak na koncie film, który nie istnieje, to znaczy nie istnieje w Chinach, ekranizację książki *Siedem lat w Tybecie* Heinricha Harrera (na ile mnie pamięć nie zawodzi, to książka jest o jakieś trzy długości lepsza i ciekawsza od filmu, który z jednej strony nie jest zły, z drugiej jest takim dość pocztówkowym obrazem Tybetu i upiękkszzonej relacji ludzi pochodzących z odmiennych kultur). Dziwotą nie jest, że za bardzo nie chciano go przybliżyć chińskiej publiczności (obraz „pokoju wojny Tybetu” dość jasno ukazuje, jak wielkim szczęściem była wizyta wojsk chińskich w tej części świata.). Za zrobienie takiego dzieła raczej nie dostaje się chińskiego ekwiwalentu zielonej karty (np. Richard Gere ma zakaz wjazdu do Chin ze względu na swoją działalność – myślę, że facet ryczy w rękaw każdego dnia). Pewnym więc zaskoczeniem było to, że właśnie Jean Jacques-Annaud został wybrany do ekranizacji *Wolf Totem*, zapewne ze względu na wspomniane doświadczenie pracy ze zwierzętami. Taki wróg Chin do ekranizacji dzieła, które ma nawet wersję dla dzieci? Wydawało się to wielce dziwne, ale seans pozwolił rozwiązać wszelakie wątpliwości, w tym też takie, że Annaud uznał, że RMB *non olet*, więc można się skompromitować i że jak zapraszają, to czemu nie?

O ile książka nie jest doskonała, o tyle oferuje dość dużo wydarzeń i sytuacji, z których można było sklecić nawet więcej niż jeden film. Niestety próbowano upchnąć w nim bardzo dużo, do tego jeszcze trochę dodać (bez wątku romansowego nie da rady, a i coś zabawnego musi być!), co spowodowało pewne przesycenie i zmęczenie, przynajmniej u mnie, chociaż chyba nie tylko. Moja irlandzka koleżanka określiła to mianem największej tandety, jaką w tym roku widziała. Rewelacją są zdjęcia mongolskich stepów, ujęcia wilków i innych zwierząt – tu widać, dlaczego to Annaud był potrzebny, strona techniczna filmu jest najwyższej próby (budżet 40 milionów dolarów, rok zdjęć). Problem jednak jest w czym innym: film całkowicie niszczy książkę, a zwłaszcza jej przesłanie. Potraktowanie tego w ten sposób można byłoby nazwać obrażą dla pierwowzoru, ale autorem scenariusza jest autor książki. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś w taki sposób zniszczył dzieło swego życia, właściwie całkowicie mu zaprzeczył i swoisty traktat o stepach i rozwoju za wszelką cenę

zamienił na kiczowate obrazki zwierzyny stepowej. O ile książkę mogę z pewną rezerwą polecić, o tyle filmu już za nic. Epilogiem tego cyrku jest przyznanie mu głównej nagrody na festiwalu filmowym w Pekinie. Ranga międzynarodowa tego wydarzenia jest praktycznie żadna, ale trzeba naprawdę nie mieć wstydu, żeby nagrodzić tak słaby film, tylko dlatego, że jest chiński i po linii władzy. Cały koszt kaczych głów, nie dlatego, że film jest nudny, ale dlatego że jest obrazą dla tego, kto czytał książkę. [Tutaj](#) można przeczytać wywiad z autorem książki i scenariusza.



*Plakat subtelny jak cios gazrurką w potylicę.
Przystojni młodzianie, wilki jakieś...*

[11.08.2015]

Nie jestem wielkim fanem seriali. Jeżeli pojawia się coś potencjalnie ciekawego, czekam, aż skończą definitywnie kręcić i dopiero wtedy oglądam, wiedząc, że całość jest w moim zasięgu. Zazwyczaj jednak udaje im się sprawę solidnie schrzanić na długo przed tym i uprzednio zainteresowani zgodnie donoszą, że szkoda w ogóle się za dany serial zabierać. Nie rzuciłem się więc na *Fresh off the Boat* z jakimiś wypiekami na twarzy. Przekonało mnie, że odcinki trwają poniżej trzydziestu minut. Losy imigrantów z Tajwanu na Florydzie w latach 90. Nie spodziewałem się cudów, ale uznałem, że 26 minut mam i sobie zobaczę, choćby po to, żeby zjechać.

Jakież pozytywne było moje zaskoczenie! Ogląda się to bardzo przyjemnie, nakręcone lekko, z dystansem i w miarę wyrafinowanym poczuciem humoru (przynajmniej przez większość czasu). Bohaterem zbiorowym jest rodzina Huang, która porzuca Washington DC na rzecz Orlando. Ojciec ma wizję wielkiego biznesu w postaci własnej restauracji. Trójka dzieci i matka muszą odnaleźć się w nowej sytuacji zawodowej, kulturalnej i edukacyjnej. Jest jeszcze babcia, która nie mówi po angielsku, a i po chińsku za wiele też nie, na znacznie dalszych planach inni członkowie rodziny. Głównym bohaterem jest Eddie, który ma około 10 lat, próbuje odnaleźć się w nowej szkole, ale nierzadko akcja koncentruje się na pozostałych członkach rodziny. Wiele sytuacji rozgrywa komizm zderzenia dwóch całkowicie odmiennych kultur, starając się przy tym żadnej nie nobilitować ani też nie ośmieszać. Lata 90. powodują, że miło się wspomina ówczesne gwiazdy NBA, początki internetu i trendy muzyczne. Aktorsko jest dość dobrze, zwłaszcza matka i ojciec, niektóre drugie i trzecie plany są nieco przerysowane. W jakimś stopniu przywodzi na myśl takie produkcje telewizyjne, jak np. *Alf* lub *Mały meczet na prerii* (to akurat nie było przesadnie popularne, ciekawe dlaczego...). Z przyjemnością oglądnęliśmy pierwsze trzynaście odcinków i oczekujemy na więcej, już wkrótce rozpoczyna się sezon drugi. Pierwszy odcinek wykorzystaliśmy podczas lekcji, studenci w miarę docenili scenę porównującą radość zakupów na chińskim targu ze sterylnością amerykańskich supermarketów. Subiektywnym zdaniem: najlepszy odcinek to wizyta siostry z mężem i wielka rodzinna wojna. Jest to serial familijny, nie ma żadnych wulgaryzmów, podtekstów seksualnych, totalne TVN, godzina 12 w niedzielę, więc dlatego też nadał nam się do wykorzystania z uczniami. Może przyda się i komuś innemu.

Serial oparty jest na książce pod tym samym tytułem. Spodziewałem się, że będzie podobnie, czyli lekko i zabawnie, trochę tego, co małego Azjata-Amerykanina dziwi, a co mu się podoba. Jakież było moje zdziwienie! Książka jest dużo bardziej opowieścią o rasizmie, byciu gdzieś pomiędzy Wschodem a Zachodem, poszukiwaniu tożsamości, także swojego miejsca w społeczeństwie i spadaniu na jego margines. Z tożsamością jest bardzo zagmatwanie, ojciec bohatera jest z Hunanu, matka z Shandongu, a do USA przyjechali z Tajwanu. Pełno dramatycznych wydarzeń, narkotyków, policji, przemocy domowej (oglądając uśmiechniętego ojca w serialu, trudno wyobrazić sobie, że okłada dzieci gumowym ALIGATOREM zakupionym w Disneylandzie – dokładny cytat na końcu).

Momentów zabawnych jest w książce raczej niewiele, ale czyta się dość dobrze (najbardziej w środku, przy końcu bohater trochę odjeżdża z tym, jakim to jest wyluzowanym człowiekiem sukcesu, który lubi jarać lole). W odróżnieniu od adaptacji, tu zdecydowanym głównym bohaterem jest autor, Eddie. O jego rodzinie dowiadujemy się niemało, ale bracia to zdecydowanie n-dziesiąty plan. Właściwie

cały czas śledzimy jego losy. Aż trudno uwierzyć, że ktoś wpadł na to, żeby zrobić z tego komediowy serial, bardziej pasowałby dramat społeczny poruszający rozliczne problemy rasowe i asymilacyjne. Okładka jest solidnie pocieszna, ale to raczej pokłosie serialu. Prawdopodobnie przenoszenie książki na ekran napotkało na taki problem, że dość pionierski serial w historii amerykańskiej TV o imigracji azjatyckiej nie bardzo mógł opowiedzieć o tym, że ci ludzie są nieco patologiczni (według norm Zachodu, ale też i Wschodu), leją dzieci gumowymi aligatorami z Disneylandu, a te pakują się w sytuacje dość jednoznaczne z prawnego punktu widzenia. Wywalono więc kilka bardziej interesujących tematów, zostały te bardziej zabawne, no i serial gotowy.

Jedno i drugie warte polecenia, z lekkim naciskiem na serial. Obecnie jest jeden sezon, w planach kolejne.

Cytat potwierdzający znaczenie naszego miasta dla absolutnie całych Chin i wszystkich ich mieszkańców:

„When he wasn’t picking stuff up, he tossed his football in the air over and over like an old Chinaman with his Baoding balls”.

Cytat numer dwa:

„It didn’t end there. He kept walking around the store with a wild grin on his face and stopped in front of this hard, heavy, three-foot rubber alligator with skin dotted by sharp points on the scales. The rubber was hard, cold, and flexible. You could hold the head, whip the body back, and just come with it. He copped both. The whip wasn’t so bad. He could get us from a distance with it, but it was light. Nothing more than a belt, really. But that alligator ...

To Americans, this may seem sick, but to first- or second-generation Chinese, Korean, Jamaican, Dominican, Puerto Rican immigrants, whatever, if your parents are FOBs, this is just how it is.

You don’t talk about it, you can’t escape it, and in a way it humbles you the rest of your life.

There’s something about crawling on the floor with your pops tracking you down by whip that grounds you as a human being. The bruises and puncture wounds from the scales of the alligator were clearly excessive, but I didn’t think anything was wrong with my dad hitting us”.

Sweet Dreams (are made of this)

[2.09.2015]

Mamy dzisiaj wiadomość radosną i bardzo pozytywną: **niektóre marzenia się spełniają!** Jakiś czas temu odkryliśmy, że nasze wpisy, które były popularyzowane przez *Skośnym Okiem*, zostały bez wyjątku skasowane z ich profilu na Facebooku. Nie przez autorów, a przez niewidzialną rękę cenzury. Zadałem sobie trud i przejrzałem wszystko ponad rok wstecz. Jeżeli dobrze pamiętam, pierwszy raz wrzucono nas tam w czerwcu 2014, gdy pisaliśmy o Kunmingu. Potem trafiały się linki do naszych wpisów np. o pracy na uniwersytecie, Shijiazhuang i jakości życia w Chinach. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystko zniknęło! Nigdy nas tam nie było, nigdy nie prowadziliśmy debat na ww. profilu, nie ma żadnego z tych wpisów i żadnego z komentarzy – czy to naszych, czy ludzi, z którymi pisywaliśmy.

Niestety nie wiemy, czy harmonizowano nas na bieżąco, czy dopiero ostatnimi czasy, za to solidnie wstecz. Pamiętajmy: nie ma człowieka, nie ma problemu. Chyba działa też z jenotami. Autorzy *Skośnym Okiem* skontaktowali się w tej sprawie z administracją FB, ale nie otrzymali póki co żadnej odpowiedzi. Według naszej wiedzy, jeżeli odpowiednia liczba osób zgłosi wpis jako naruszający coś tam, to ten zostanie automatycznie skasowany. Ponieważ hipokryzja nie boli i ambasada ChRL prowadzi profil na FB – tym samym FB, które jest zablokowane na amen w Chinach – nie jest nam tak trudno wyobrazić sobie, że odpowiednie siły mają kilka kont i w sytuacji, gdy reputacja ojczyzny znajduje się w niebezpieczeństwie, klikają sobie „**raportuj**”. Następnie wpisy znikają, cześć ojczyzny uratowana, amen! Ciekawe, czy ktoś wykorzysta ten sposób w nadchodzącej kampanii wyborczej.

Wracając do tematu: wzruszenie odbiera nam głos, klawiatura drży, a oczy same robią się wilgotne: **KTOŚ NAS OCENZUROWAŁ!** Jest tyle wspaniałych tekstów kultury, które podlegały cenzurze. A to za pisanie o rzeczach zakazanych, a to za tzw. niemoralność i deprawację młodzieży, gdzie indziej, bo pokazali piersi. Opisywanie systemów penitencjarnych było słabo przyjmowane przez różne reżimy, podobnie ocenianie polityków i ich dokonań.

Nie sądziliśmy nigdy, że opisywanie szeroko dostępnej rzeczywistości może nas zaprowadzić tak daleko. Żadnej golizny, żadnej sodomii, język umiarkowanie obrazoburczy, wątki religijne obecne śladowo, politycznych tylko trochę, ale proszę! Jeżeli dąży się do celu uparcie i wytrwale, jeżeli ciężko pracujesz, jeżeli wbijasz w klawiaturę tysiące słów, to wówczas pewnego dnia udaje się i marzenia się spełniają, a człowiek trafia na listę tych, których warto ocenzurować za to, co napisali i narysowali. Chcielibyśmy jeszcze dostać jakiś dyplom lub medal, że nasza twórczość dostąpiła rangi bycia zagrożeniem dla ChRL.

Inną sprawą jest sam Facebook. Założyciel już parę razy próbował zaprzyjaźnić się z ChRL, z naiwną nadzieją, że kiedyś otworzą mu bramy do rajów milionów internautów, którzy to kont na FB póki co nie mają. [W grudniu była lepsza zadyma – skasowano post nt. samospalenia mnicha w proteście przeciwko wiadomemu krajowi](#). Wtedy portal zasłaniał się ochroną uczuć i oczu użytkowników przed drastycznymi obrazami. Rozumiemy, że jenoci szkielet i że błędy naszych studentów były dość przerażające, ale wydawało się, że jednak nie aż tak, żeby trzeba było od razu kasować.

Wiemy, że nastały czasy wytężonej pracy dla organów zajmujących się reglamentowaniem dostępu do internetu i informacji. Przepraszamy, harmonizowaniem. Nie mówimy nawet o standardowych tematach, których i tak nigdy nie brakuje, ale teraz doszedł jeszcze Tianjin/Tiencin, czarny poniedziałek na giełdzie, Korea Północna. Cieszy nas, że zatroszczono się i o to, żeby wraz z treściami propagowanymi w zakamarkach jenocego futra nie psuły młodzieży w wieku dowolnym. Dodatkowo piszemy to w języku Reja, który to nie jest przesadnie popularny w Państwie Środka. Być może dzięki nam pracę ma jakiś polonista? Lub rodak, który ogarnięty miłością do ChRL postanowił nieco utrudnić dostęp do naszych przemysłów.

[13.09.2015]

Chociaż nie mieszkamy już w Chinach, media dokładają starań, żebyśmy trzymali dłoń na pulsie. A jak widzę coś w polskich mediach, to często muszę sprawdzić w zachodnich, bo krajowym ufam tak sobie, kończy się więc na szukaniu informacji po dwudziestu gazetkach. Jakiś czas temu pisaliśmy o tym, że Chiny to kulturalna pustynia. Dowiedzieliśmy się, że się mylimy, bo w Pekinie budują lotnisko i mają muzeum arbuza. A poza tym zagra topowa grupa Bon Jovi. Bon Jovi było na topie w okolicach czasu, kiedy na księdza mówiliśmy Zorro, ale gdzieś tam się przewija i dalej nagrywa płyty, których słuchać musi jego rodzina i najlepsi przyjaciele, inni już niekoniecznie. No i w ramach rozkwitu życia kulturalnego Bon Jovi miał grać w Chinach.

Niestety okazało się, że jest zbyt kontrowersyjny na chiński rynek. Wyszło na jaw, że swego czasu wykorzystywał podczas koncertów zdjęcie Dalajlamy, ergo w Chinach zagrać nie może. **Gratulujemy chińskiej cenzurze.** Totalnym kalafiolem wisi mi twórczość Bon Joviego. Jeżeli jadę autem i się włączy, to nie zmieniam stacji, ale sam go sobie nie odpalę (OK, właśnie to zrobiłem). W życiu by mi nie przyszło do głowy, że ten zawodnik może być jakoś zaangażowany politycznie, bo de facto nie jest. Zapewne mu w blond łepety nie zadzwoniło, że użycie zdjęcia Dalajlamy wpłynie na jego plany koncertowe. Ba, ja bym nigdy o tym nie wiedział, gdyby nie towarzysze z Pekinu, którzy byli łaskawi uświadomić szerszej publice, że takie coś miało miejsce. Gratulujemy.

Suma doświadczeń jest taka, że jeżeli chce się, żeby coś stało się popularne, to należy to ocenzurować. W PL zjawisko to przybrało taką postać, że jak kościół zaczął jechać po filmie *Ksiądz*, to film ten machnął cudowny box office. Podobnie było z *Dogmą* Smitha i *Skandalistą Larrym Flyntem* Formana. Potem jednak polski kościół się nauczył i przestał się wydurniać z rzucaniem klątw na sztukę. Szkoda, bo promowanie filmów szło im całkiem nieźle. Niestety lub stety Partia matka tej wiedzy nie ma. W efekcie zamiast mieć koncerty Bon Joviego, które raczej nie zawierałyby treści nacechowanych politycznie, mają wstyd i gnój na całego. W cywilizowanym świecie, za odwołanie koncertów płaci się horrendalne odszkodowania. Tutaj pewnie wiele się nie wydarzy, może organizator wyda jakieś rzygotliwe oświadczenie, że to wina Bon Joviego, że nie rozumie Chin, że to on powinien zapłacić i że oszukał fanów.

Chociaż mamy pewną sumę doświadczeń związanych z Chinami, to jesteśmy pod wrażeniem: uczynienie z Bon Joviego figury politycznej i ofiary cenzury... Tak potrafią tylko nieliczni. Zresztą cały cyrk zwany wolnością słowa w Chinach jest dziełem cenzury. Tiananmen jest tabu w diabły. Powiedzmy, że podobnym wydarzeniem była masakra w kopalni Wujek. Możemy sobie o tym mówić, ile chcemy. Ilu Polaków o tym debatuje? Ile osób spoza Polski o tym wie? A przecież nie ma zakazu, mamy dostęp do materiałów, możemy sobie o tym dowolnie rozprawiać.

[W ramach solidarności z ciemieżonym:](#)

„I'm going down in a blaaaaaze of glooooooooooory”.

Nie, że nie mam co robić z życiem, ale czasem rzucam sobie okiem na blogi Polonii w Chinach. Cieszy nas, że jesteśmy mniej lub bardziej wspominani. Tak bardzo nam przykro, że zepsuliśmy tylu osobom radość życia w kraju odrazy... Przyjacielsko przypominamy: piszcie o tym, że w Chinach jest super. Że można się wszędzie odlać i zapalić peta, a nawet wypić piwo. Trochę Państwu życie utrudniać może chwilowa sytuacja na rynkach finansowych, ale nie zapominajmy: Żydzi! Żydzi z USA są winni. I działą magnetyczne. W końcu przecież nie ten zamordystyczny system, tylko siły zewnętrzne. Pamiętajcie, wrzucajcie zdjęcia ryżu za 5 RMB i opowiadajcie, że jesteście królami życia. Omijajcie tematy takie jak rozwój zawodowy, zanieczyszczenie, jakość niemal wszystkiego i normy zachowania publicznego. A Bon Joviego posłuchajcie sobie na słuchawkach.

Nie mamy złudzeń – i tak przeczyta to jakiś biedak zatrudniony przez ambasadę, który będzie nam wykazywał, że się nie znamy, a Chiny to cudowny kraj. Szczęśliwie, my w nim nie mieszkamy. I możemy sobie iść na koncert Bon Joviego, Slayera, Tori Amos lub jakiegokolwiek innego artysty.